

321.15
Czerwonej Armii
Wysza Szk. Handlu
Morskiego



Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 8 stron

Warszawa, 13 sierpnia 1950 r.

Nr 20 Rok I

RYSZARD MATUSZEWSKI

MIECZYŚLAW JASTRUN

Gdziekolwiek w świecie

Korea — tak nazwij swój własny dom".
Gdzie szukać trafnych, przemawiających do wyobraźni syntez, jeśli nie w zwartych formułach poetyckich? Czytając w gazecie nagłówek: „Koreańska Armia Ludowa wyzwoliła Kimczon, Sandżu, Hamczan i Andon“, mam pustkę w oczach. Nie znam tych miast. Nie wiem jak wyglądają i trudno mi je sobie wyobrazić. Skutek tego jest taki, że nawet ich nazwy nie łatwo mi zapamiętać i, wbrew oczywistości, wydają mi się podobne: Kimczon, Sandżu, Hamczan, Andon.

Ale spróbujcie podstawić: Mława, Pułtusk, Nasielsk. Czyż dla Koreańczyka nie brzmiałyby również podobnie? Nawet dźwiękowo! Bo i w tych nazwach, tak samo jak w tamtych, drzemają jak perły w konchach jądra brzmień mowy ojczyzny: Kimczon, Sandżu, Hamczan, Andon... Dopiero kiedy usiłuję zastąpić je słowami od których polszczyzna bije jak zapach dojrzwających zbóż — widzę pogodnie niebo zasnutę dymami pożarów, słyszę gwizd pikujących samolotów i huk rozrywających się pocisków.

„Korea — tak nazwij swój własny dom“. Słowa te wiele znaczą. Znaczą ni mniej ni więcej tylko to, że pokój jest niepodzielny. W piękne, pogodne, miesiące letnie lat 1936, 7 i 8 wielu poetów w Polsce nie rozumiało tej prawdy. Poci owi gardziły lekturą gazet. W ich wierszach z owego czasu próżno by szukać echa anksji Abisynii, wojny hiszpańskiej, „anschluszu“ Austrii, Monachium i zaboru Sudetów. Ich wyobraźnię ekscytowały apokaliptyczne wizje zagłady bliżej nieokreślonego, fantastycznego świata, w ich poematach bezradny przestrach kojarzył się irracjonalnie z baśnią o imaginacyjnych wprawach polarnych i potworach morskich.

Pisząc o lunatycznych ogrodach i krajobrazach Atlantydy, lirycy szczyku lat międzywojennych nie dostrzegali rzeczywistości kryjącej się poza nazwami wiosek abisynskich, zdobywanych w tym czasie przez wojska Mussoliniego. Słyszając ich obce brzmienie, mieli pustkę w oczach i uszach. Nie usiłowali jej zapełnić obrazami innych, bliższych wiosek i miast, których konkretność unaczyniaby im właściwy sens groźnych zjawisk opisywanych przez gazety. Być może, iż byli podobni do głuchoniemych. Ale nawet u głuchoniemych — czytamy w odpowiedzi Józefa Stalina na list towarzyszy Bielkina i Furera — myśli powstają i mogą istnieć jedynie na bazie tych obrazów, postrzeżeń, wyobrażeń, które kształtują się u nich w życiu codziennym o przedmiotach świata zewnętrznego i ich stosunku wzajemnym, dzięki zmysłom wzroku, dotyku, smaku, powonienia. Poza wyobrażeniami, postrzeżeniami, wyobrażeniami, myśl jest pusta, pozbawiona jakiegokolwiek bądź treści, czyli że nie istnieje“.

Głuchoniemy poci, dla których dźwięk obcych miast i wiosek bombardowanych przez faszystów nie wywoływał obrazów, postrzeżeń i wyobrażeń, zapadających głęboko w serca, mieli pustkę nie tylko w oczach i uszach, ale i w mózgu.

W komunikacie mówiącym o wyzwoleniu przez koreańską Armię Ludową miast Czindżu, Sandżu, Hamczan, Jenczon i Andon czytamy o bestialskim bombardowaniu przez armię amerykańską szkół, szpitali i domów mieszkalnych. Latem roku 1939, po zajęciu przez Hitlera Pragi i po ultimatum w sprawie Gdańska, poci-katastrofiści nie stronili już od nowin, jakie codzień przynosiły im gazety. Ale język ich poezji okazał się na długi czas niezdolny do oddania tego, czym napędleni mieli się wkrótce ich oczy i uszy: do oddania grozy bombardowań, egzekucji ulicznych, komór gazowych i lagrów. Długo jeszcze w okupowanej Warszawie, wśród szalejącego terrozu gestapo, pisali o świecie różowym jak sen dziecka, o sarnach, aniołach, gołębiach i paprociach. Dlaczego tak się działo? Nie ulega wątpliwości, że serca poetów zatrute były pięknem. Pięknem nie ludzkim. Nie było w nim prawdy. Nie było w nim człowieka

Ale trujące toksyny wydziela nie tylko świat urojonej baśni, w którą chronimy się od głosu świata rzeczywistego, żądającego naszego uczestnictwa w swoich losach, w swojej walce. Trujące toksyny wydziela także świat rzeczywisty, jeśli tylko niebacznie poddamy się działaniu jego wrogich sił, jeśli zamiast sami rozumem i wolą kształtować rzeczywistość, pozwolimy jej wernie oddziaływać na nasze zmysły i uczucia. Dzisiejsze głosy niektórych poetów mówią często o doświadczeniach kłes bynajmniej nie urojonych, ale mówią o nich w sposób nie wnoszący nic twórczego do życia, które dzisiaj powstaje dookoła nas, mówią o nich jak biernie media minionych, historycznych wydarzeń, nie włączając się w budowę Wielkiego Nowego, które wyrasta w naszych oczach. Istnieją pisarze i po-

eci, nie umiejący dziś jeszcze uwolnić się od tzw. „zarażenia śmiercią“, pisarze, dla których „doświadczenia“ to zawsze tylko doznane cierpienia i kłeski, dla których wojna, to tylko bezprawie faszystów i jego straszliwe, tragiczne skutki, tylko poniesione ofiary a nie wielkie, wspaniałe zwycięstwo nad gadem faszystowskim

Ci ludzie, wciąż jeszcze zjeżeni strachem lub skurczeni w bólu, nie odczuli a przynajmniej nie dali wyrazu odczuciu wielkiej, potężnej radości zwycięstwa i nie są w stanie ukazać w swoim dziele potężnej siły nowego świata, który rodzi się do nowych walk i nowych zwycięstw. Twórczość ich, jeśli nawet uczestniczy w rzeczywistości, to w sposób bierny, konstatający, obserwatorski. Nie przenika jej radość z rozmachu naszej produkcji, z odbudowy kraju, z pojawiających się elementów nowej kultury jutra. Byli ofiarami faszystowskich gwałtów, dziś są biernymi świadkami budowy nowego życia, które przekreśli na zawsze groźbę faszystów. Są tragiczni i nieufni, nie umieją sami stać się częścią siły, która raz na zawsze złamie zło leżące u podstaw każdej zbrodni imperialistycznej. Nie umieją stać się czynnym podmiotem dzieł.

„Korea — tak nazwij swój własny dom“. Korea — to nie tylko zbrodnica podłość imperialistycznych najedźców bombardujących szkoły i szpitale, odmawiających ludowi koreańskiemu prawa do wolności. To także wściekła bezsilność napastników, to także ponoszone przez nich kłeski.

Korea nie walczy samotnie. W chwili, gdy pisane są te słowa, przeszło ćwierć miliarda podpisów pod apelem sztokholmskim — z tego ponad 115 milionów w ZSRR — świadczy o sile i potędze obronców pokoju. Czwarć część zdolnych posługiwać się piórem mieszkańców kuli ziemskiej wypowiedziała się w sposób wyraźny przeciw gwałtowni garstki podległej wojennych. Nie jest to bynajmniej maksymalna liczba głosów, które gotowe są świadczyć przeciw wojnie. Każdy dzień zwiększa i zwiększać będzie ich liczbę. Każdy dzień przynosić będzie zwycięstwo nowego nad starym, i u nas, i u nich, i w krajach już wolnych, i w krajach jeszcze uciemiężonych.

Gdzie rodzi się „nowe“ w Polsce? Coraz częściej pada słowo — symbol: Nowa Huta. Powstaje miasto socjalistyczne, wznoszone przez brygady młodzieży zetempowskiej, i dla niej rodzą się żywe, pobudzające ją do wysiłku wiersze spod pióra poetów, którzy przekroczyli zakłety krąg własnych, tragicznych doświadczeń, którzy postawili sobie za zadanie żyć doświadczeniem powszechniejszym. Autor „Świt nad Nową Hutą“, ogłoszonego w dniu 22 lipca w „Sztandarze Młodych“, Wiktor Woroszyński, miał świadomość borykania się z poetycką formą i nazwał ostrożnie swój utwór „szkieletem poematu“, ale siła ideowej napędzenia, z jaką potraktował wielki i ważki temat, jaką być może ów temat mu poddał, trafnie zastosowana, najzupełniejsza prostota środków wyrazu — zrodziły próbę poezji żywej i świeżej, potrzebnej i skutecznej w walce.

Myślę, że jest to ważne. Myślę, że zarówno budowniczym Nowej Huty jak i walczącym na Korei przysła się nasza broń poetycka, jeżeli będzie dostatecznie ostra i precyzyjna. Przysła się ona również jako jeden z elementów wychowawczych w ideowej walce, jaką nadal toczyć musimy na całym szerokim froncie młodzieży, którego obraz odmalował nam ostatnio przewodniczący ZMP, tow. Matwin. ZMP, które rośnie w siłę, ZMP, które jest „wiernym pomocnikiem Partii, w kształtowaniu socjalistycznej świadomości naszego młodego pokolenia“, „młodszym bratem leninowskiego Komsomolu“, które idzie w pierwszej linii walki o nasze budownictwo socjalistyczne i nasz Plan Sześcioletni, które buduje Nową Hutę i które w ciągu ostatniego półtora roku dwukrotnie przeszło powiększyło swe szeregi, jest dziś bowiem niewątpliwie jednym z najważniejszych odcinków zaciętej walki o nowe oblicze przyszłej, socjalistycznej Polski. Wie o tym dobrze wrogi, pociągający z za międzynarodowych kulis za sznurki swych marionetek — niedobitków reakcji, skupiających resztki sił, by, korzystając z masowości ruchu młodzieży, z jego bujnego, organizacyjnego rozrostu — przeniknąć doń, osłabić jego ideowe oblicze.

Te nędzne próby zmylenia klasowej czujności ruchu ogarniającego dziś cały aktywny nasz młodzieży są jednak daremne i bezowocne. Przewycięży je — stwierdził tow. Matwin — mobilizacja czujności organizacyjnej, pogłębienie pracy ideologicznej, oparcie jej o wielkie rewolucyjne tradycje KZMP, wzmocnienie robotniczego trzonu organizacji, wskazanie na wspaniałe, a wciąż mało znane postaci młodych bohaterów komunistów. Zbliża się dwudziesta piąta rocznica śmierci trójki bohaterów ruchu komunistycznego w Polsce międzywojennej — Hibnera, Kniewskiego i Rutkowskiego. Dwóch ostatnich — wyszło z kadry komunistycznej młodzieży i nie jest przypadkiem, że ich nazwiska padły w referacie tow. Matwina obok nazwisk Sawickiej, Krasickiego, Lucyny Hertz, Wandy Zieleńczyk i innych.

Narodziny nowego człowieka w Polsce — to nie czyjś wymysł: to fakt. Trzeba tylko chcieć go zobaczyć i biędem byłoby sądzić, że jakiś monopol na to zjawisko ma Nowa Huta. Przeobraża, przetrada się cały kraj. W dniu tegorocznego święta lipcowego, w tym samym czasie kiedy na lamach „Sztandaru Młodych“ ukazał się poemat o budowniczym Nowej Huty, przyglądałem się życiu jednego z ośrodków rolnych w województwie szczecińskim i widziałem, jak tam, na trudnym odcinku pracy PGR-ów, rodzi się także „nowe“, wyrastając ponad zastane formy i okrucy dawnego życia, jednocząc we wspólnym wysiłku ludzi przybyłych z różnych stron Polski na rozległe, nie dawno jeszcze z trudem zagospodarowane obszary, wysuwając na czoło jednostki prężne i rzutkie, jednostki, które ciężące na nich zadania wykonują ze wspaniałym, udzielającym się otoczeniu zapalem.

Załużę, że w zespole PGR Pezino, powiecie stargardzkim, byłem zbyt krótko, aby móc szerzej napisać o pracy tow. Wincenego Smoły, niegdyś jednomorgowego gospodarza z Zamojszczyzny, dziś dyrektora zespołu. Uśmiecham się jeszcze dziś, przypominając sobie jego serdeczną radość, z jaką wręczał zwycięskiej ekipie przewodników pracy na swoim terenie proporczyk przechodni. Radość, z jaką rozdzielał wyróżnionym pracownikom odznaczenia i gratyfikacje, do każdego twardego uścisłu dloni umiejąc dołączyć żarliwe, pełne ciepłej zachęty słowa. Myślę jednak, że wyręczył mnie w tym literackim zadaniu młody towarzysz z Zamojskiej brygady zniwnej z Sosnowca, który gawędził ze mną o swych zamiarach w tej dziedzinie.

Patrząc w czasie radosnego obchodu lipcowego (obchodu, który zaczął się późnym wieczorem po dniu znojnjej pracy wykorzystującej upalną, lipcową pogodę) na artystyczne popisy sosnowieckich zetempowców, przeplatane z produkcjami miejscowej ludności, oraz na wspólną zabawę wiejskiej młodzieży i licealistów z Zagłębia, myślałem sobie, że jednak zmieniło się trochę od czasu, kiedy pięknie wyekwipowane drużyny harcerzy warszawskich gimnazjów za punkt ambicji uważały zaszczyt się w lasach jak najdalej od siedzib ludzkich i ograniczenie wzajemnych stosunków z miejscową ludnością wiejską do minimum.

Rozpisałem się o PGR-ach i o zetempowcach i ktoś mógłby mi słusznie zarzucić, że poważnie zobczyłem z tematu, który podjąłem na początku — tematu Korei i obrony pokoju. Nie sądzę, by miał rację. Pojęcie obrony pokoju byłoby puste i mówiloby równie mało jak nazwy dalekicu i nieznanych nam miast, gdybyśmy nie zrozumieli tej ważkiej prawdy, że pokoju bronią tak samo brygady zniwne pod Szczecinem, jak żołnierze Koreańskiej Republiki Ludowej wyzwalaający miasta Kimczon, Hamczan, Sandżu i Jenczon.

Przeobraża się rzeczywistość, przeobraża się historia. Na zakończonym przed kilku dniami kongresie Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec przedstawiciel polskiej klasy robotniczej słusznie podkreślił fakt wyrzucenia na śmietnik historii haseł nacjonalistycznego szowinizmu, zagradzających polskiemu i niemieckiemu proletariatu drogę do wspólnej, pokojowej i przyjaznej przyszłości. „Polscy robotnicy — stwierdził — widzą w niemieckich proletariuszach, widzą w towarzyszach z SED i KPD swych braci klasowych, mężnie i ofiarnie walczących o nowe socjalistyczne Niemcy, o zwycięstwo wielkiego obozu pokoju i postępu“.

Swojej zbiorowej woli utrzymania pokoju cały polski naród da wkrótce wyraz w nowej potężnej manifestacji, jaką będzie Ogólnopolski Kongres Obrony Pokoju w pierwszych dniach września r.b. Wkrótce po nim, w połowie października, Warszawa gościć będzie Światowy Kongres Obrony Pokoju, którego organizacji podjęła się Polska wobec odmowy udzielenia mu gościnny przez reakcyjny rząd włoski.

Gdziekolwiek toczy się na świecie, w jakimkolwiek głoszone jest języku, jakiegokolwiek nazwy nieznanych miast lrsom jej towarzyszą — sprawa walki o pokój jest nam jednakowo bliska. Bomby spadające na miasta koreańskie, których nie znamy, nie napotyka ją ra pustkę naszych serc i naszych myśli. Rozumiemy ich łączność z naszymi. Rozumiemy ich najbliższe sprawy, z każdą z naszych najbliższych spraw, z Nową Hutą i z akcją zniwną, z Planem Sześcioletnim i sprawą nowej poezji. Jesteśmy jednak dumni, że słowa, które stały się jednak dumni, że słowa, które wkrótce padną w obronie pokoju, padną w naszym kraju. Towarzyszyć im będzie przypieszony rytm naszych marszów

Ryszard Matuszewski

PHENIAN

Rzycają ogniem na Koreę,
Żelaznym zarażają trądem.
I znów powietrze wojny wieje
Na morza żółte i na lądy.
Roją zaborów nowych plany,
Zza szkieł okrutnych kalkulacji
Dybią na ziemię, oceany,
Połowy świata mroczni władcy.
Przed nimi mord, za nimi pieniądż,
Gdy szarpiać liny południków,
Ochłanie, co się burzą pieniąż,
Miażdżą cielskami pancerników.
Lecz gwiazdą ognia świeci światu
Phenian — wzlatuje ptak nadziei,
I wielka krew proletariatu
Jutrzenką wschodzi z gór Korei.

SŁOWA SŁUŻĄ ELEKTRYFIKACJI UCZUĆ

Nie mam osobistych życzeń,
Prócz jednego: zniknąć w dziele.
Za dzieło płaci się życiem.
O, sławo! żalobne wesele!
Tak górnik wdraża się w skałę,
Tak namiętny budowniczy
Przemienia się w dzieło trwałe,
Które kto inny dziedziczy.

W domach, w których dziś mieszkamy,
Będą inni po nas żyli,
Uroczycie ze znajomej bramy
Wyjdziemy w niewiadomej chwili.

To nie skarga na znikomość
W cieniu średniowiecznej szkarpy,
Ale spokojna świadomość
Wspólnoty, to — trud uparty.

Więc niech słowa moje służą
Elektryfikacji uczuć.
Przed wielką nocną podróżą
Ja chcę u słońca się uczyć.

Nieustająca bitwo
Pociski ze światła miotaj!
Daj jasność moim rytmom,
Siłę dłuta i młota!

ŚPIESZ SIĘ

Ciągle słyszę głos ten:
„Śpiesz się!“
Mija czas
i spada gwiazda.
Mija noc
i w wonnym lesie
W cieniu dębów
grzyb wyrasta,
Kwiat zawęzła się
i owoc
Od gałęzi się odrywa.
„Niech zapalą
światło - słowo
Usta twoje —
gwiazda żywa...“
W dzień beczczynny
w noc milczenia
Słyszac głos ten:
„Śpiesz się! Śpiesz się!“
Ja
za jeden dzień stworzenia
Z życia
oddalbym
lat dziesięć.

JÓZEF STALIN

ODPOWIEDŹ TOWARZYSZOM

Do towarzysza Sanżejewa

Szanowny towarzyszu Sanżejew!
Odpowiadam na Wasz list z dużym opóźnieniem, gdyż dopiero wczoraj przekazano mi go z aparatu KC.

Bezwarunkowo słusznie interpretujecie moje stanowisko w sprawie dialektów.

Dialekty „klasowe”, które słusznie byłoby nazwać żargonami, obsługują nie masy ludowe, lecz swą górę socjalną. Nie mają one przy tym własnej budowy gramatycznej i podstawowego zasobu słów. Wobec tego nie mogą one w żaden sposób rozwinąć się w języki samodzielne.

Dialekty lokalne („terytorialne”) obsługują, przeciwnie, masy ludowe oraz mają swą budowę gramatyczną i podstawowy zasób słów. Wobec tego niektóre lokalne dialekty w toku procesu kształtowania się narodu mogą stać się podstawą języków narodowych i rozwinąć się w samodzielne języki narodowe. Tak było np. z dialektem kursko-orłowskim („mowa”) kursko-orłowska) języka rosyjskiego, który to dialekt stał się podstawą rosyjskiego języka narodowego. To samo należy powiedzieć o połtawsko-kijowskim dialekcie języka ukraińskiego, który stał się podstawą ukraińskiego języka narodowego. Co się tyczy pozostałych dialektów takich języków, to tracą one swą samoistność, wlewają się w te języki i zanikają w nich.

Zdarzają się też odwrotne procesy, kiedy jeden wspólny język narodowości, która z braku nieodzownych ekonomicznych warunków rozwoju nie stała się jeszcze narodem, ponosi klęskę wskutek rozpadu państwowego tej narodowości, a dialekty lokalne, które nie zdążyły jeszcze roztopić się w jednym wspólnym języku nabierają życia i zapoczątkowują kształtowanie się odrębnych samodzielnych języków. Możliwe, że tak właśnie było np. z jednolitym językiem mongolskim.

11 lipca 1950 r. J. STALIN

Do towarzyszy D. Bielkina i S. Furera

Listy Wasze otrzymałem.

Wasz błąd polega na tym, że pomieszaliście dwie różne rzeczy i zastąpiłście przedmiot, rozpatrywany w mojej odpowiedzi tow. Kraszennikowej, innym przedmiotem.

1. W odpowiedzi tej krytykuje N. J. Marra, który, mówiąc o języku (dźwiękowym) i o myśleniu, odrywa język od myślenia i w ten sposób wpada w idealizm. A zatem w mojej odpowiedzi chodzi o normalnych ludzi władających językiem. Twierdzi przy tym, że myśli mogą powstać u takich ludzi jedynie na bazie materiału językowego, że ogółonych myśli, nie związanych z materiałem językowym, nie ma u ludzi władających językiem.

Zamiast przyjęcia lub odrzucenia tej tezy, podstawiacie ludzi anormalnych, bezzęzykowych, głuchoniemych, którzy nie posiadają języka i których myśli nie mogą, oczywiście, powstać na bazie materiału językowego. Jak widzicie, jest to zupełnie inny temat, którego nie poruszałem i nie mogłem poruszyć, albowiem językoznawstwo zajmuje się normalnymi ludźmi władającymi językiem, a nie anormalnymi, głuchoniemymi, nie posiadającymi języka.

Omawiany temat zastąpiłście innym tematem, który nie był rozważany.

2. Z listu tow. Bielkina widać, że stawia on na jednej płaszczyźnie „język słów” (język dźwiękowy) i „język gestów” (według N. J. Marra — język „ręczny”). Sądzi on widocznie, że język gestów i język słów są równoznaczne, że ongiś społeczeństwo ludzkie nie miało języka słów, że „ręczny” język zastępował wówczas język słów, który zjawił się dopiero później.

Jeśli jednak tow. Bielkin istotnie tak sądzi, popełnia on poważny błąd. Język dźwiękowy lub język słów był zawsze jedynym językiem społeczeństwa ludzkiego, zdolnym do odegrania roli pełnowartościowego środka komunikowania się między ludźmi. Historia nie zna ani jednego społeczeństwa ludzkiego, najbardziej nawet zaofanego, które nie posiadałoby dźwiękowego języka. Etnografia nie zna ani jednego zaofanego szczepu, choćby był tak samo lub jeszcze bardziej pierwotny niż — powiedzmy — Australijczycy czy mieszkańcy Ziemi Ognistej w ubiegłym stuleciu, który nie miałby swego języka dźwiękowego. W historii ludzkości język dźwiękowy stanowi jedną z tych sił, które pomogły ludziom wyodrębnić się ze świata zwierzęcego, połączyć się w społeczeństwa, rozwinąć swe myślenie, organizować produkcję społeczną, prowadzić skuteczną walkę z siłami przyrody i dojść do tego postępu, jaki mamy obecnie.

Pod tym względem znaczenie tzw. języka gestów, wobec jego niezmiernego ubóstwa i ograniczonego charakteru — jest nikome. Jest to właściwie nie język, i nawet nie surrogat języka, który by mógł tak lub inaczej zastąpić język dźwiękowy, lecz środek pomocniczy o nader ograniczonych możliwościach, z którego korzysta niekiedy człowiek dla podkreślenia tych czy innych momentów w swej mowie. Języka gestów nie można przyrównywać do języka dźwiękowego, tak samo jak nie można przyrównywać pierwotnej drewnianej motyki do współczesnego traktora gąsienicowego z pięciokorpusowym pługiem i rządowym siewnikiem traktorowym.

3. Jak widać, interesujecie się przede wszystkim głuchoniemymi, a dopiero potem — problemami językoznawstwa. Widocznie ta właśnie okoliczność skłoniła Was do tego, że zwróciście się do mnie z szeregiem pytań. No cóż, skoro nalegacie, chętnie uczynię zadość Waszej prośbie. A więc, jak ma się sprawa z głuchoniemymi? Czy funkcjonuje u nich myślenie, czy powstają u nich myśli? Tak jest, myślenie u nich funkcjonuje i myśli powstają. Rzecz jasna, że skoro głuchoniemi pozbawieni są języka, ich myśli nie mogą powstawać na bazie materiału językowego. Czy nie znaczy to, że myśli głuchoniemych są ogółcone, nie związane z „normami przyrody” (wyrażenie N. J. Marra)? Nie, nie znaczy. Myśli głuchoniemych powstają i mogą istnieć jedynie na bazie tych obrazów, postrzeżeń, wyobrażeń, które kształtują się u nich w życiu codziennym o przedmiotach świata zewnętrznego i ich stosunku wzajemnym, dzięki zmysłom wzroku, dotyku, smaku, powonienia. Poza tymi obrazami, postrze-

żeniami, wyobrażeniami myśl jest pusta, pozbawiona jakiegokolwiek bądź treści, czyli że nie istnieje.

J. STALIN

22 lipca 1950 r.

Do towarzysza A. Chołopowa

Otrzymałem Wasz list. Spóźniłem się nieco z odpowiedzią wobec przeciążenia pracą.

List Wasz milcząco bierze za punkt wyjścia dwa założenia: założenie, że dopuszczalne jest cytowanie dzieła tego lub owego autora w oderwaniu od okresu historycznego, do którego odnosi się cytata, i po drugie — z założenia, że te czy owe wnioski i formuły marksizmu, uzyskane w wyniku badania jednego z okresów rozwoju historycznego, są słuszne dla wszystkich okresów rozwoju i dlatego powinny pozostać niezmiennie.

Muszę powiedzieć, że oba te założenia są głęboko błędne.

Oto kilka przykładów.

1. W czterdziestych latach ubiegłego stulecia, kiedy nie było jeszcze kapitalizmu monopolistycznego, kiedy kapitalizm rozwinął się w sposób mniej lub bardziej miarowy, po linii wznoszącej się, rozprzeszczając się na nowe jeszcze nie zajęte przestrzenie terytorialne, a prawo nierównomierności rozwoju nie mogło jeszcze działać w całej pełni — Marks i Engels doszli do wniosku, że rewolucja socjalistyczna nie może zwyciężyć w jednym jakimkolwiek bądź kraju, że może ona zwyciężyć jedynie w rezultacie ogólnego uderzenia we wszystkich lub w większości krajów cywilizowanych. Wniosek ten stał się potem wytyczną dla wszystkich marksistów.

Jednakże na początku dwudziestego stulecia, zwłaszcza w okresie pierwszej wojny światowej, gdy dla wszystkich stało się jasne, że kapitalizm przedmonopolistyczny jawnie przerosł w kapitalizm monopolistyczny, gdy kapitalizm idący w przód przeskakiwał się w kapitalizm umierający, gdy wojna odśrodkowała nieuleczalne choroby światowego frontu imperialistycznego, a prawo nierównomierności rozwoju zdecydowało o różnym czasie dojrzewania rewolucji proletariackiej w różnych krajach — Lenin, wychodząc z teorii marksistowskiej, doszedł do wniosku, że w nowych warunkach rozwoju rewolucja socjalistyczna może w zupełności zwyciężyć w jednym, z osobna wziętym kraju, że równoczesne zwycięstwo rewolucji socjalistycznej we wszystkich krajach lub w większości krajów cywilizowanych jest niemożliwe wobec nierównomierności dojrzewania rewolucji w tych krajach, że dawna formuła Marks i Engels nie odpowiada już nowym warunkom historycznym.

Jak widać, mamy tu dwa różne wnioski dotyczące zagadnienia zwycięstwa socjalizmu, które nie tylko przeczą sobie wzajemnie, lecz i wzajem się wykluczają.

Jakieś tam mole książkowe i talmudyści, którzy, nie wnioskując w istotę sprawy, cytują w sposób formalny, w oderwaniu od warunków historycznych — mogą powiedzieć, że jeden z tych wniosków, jako bezwarunkowo nieludzki, należy odrzucić, drugi zaś wniosek, jako bezwarunkowo słuszny, winien być rozszerzony na wszystkie okresy rozwoju. Ale marksści nie mogą nie wiedzieć, że mole książkowe i talmudyści myślą, że nie mogą nie wiedzieć, że oba te wnioski

są słuszne, lecz nie bezwarunkowo, a każdy dla swego czasu: wniosek Marks i Engelsa — dla okresu kapitalizmu przedmonopolistycznego, wniosek zaś Lenina — dla okresu kapitalizmu monopolistycznego.

2. Engels mówił w swym „Anty-Dühring”, że po zwycięstwie rewolucji socjalistycznej państwo powinno obumrzeć. Na tej podstawie, po zwycięstwie rewolucji socjalistycznej w naszym kraju, mole książkowe i talmudyści z naszej partii zaczęli domagać się, aby partia przedsięwzięła środki zmierzające do szybszego obumierania naszego państwa, do rozwiązania organów państwowych, do rezygnacji ze stałej armii.

Jednakże marksści radzieccy, na podstawie analizy sytuacji świata w naszym okresie, doszli do wniosku, że przy istnieniu otoczenia kapitalistycznego, gdy zwycięstwo rewolucji socjalistycznej ma miejsce tylko w jednym kraju, a we wszystkich innych krajach panuje kapitalizm, kraj zwycięskiej rewolucji powinien nie osłabiać, lecz ze wszech miar wzmacniać swoje państwo, organa państwa, organa wywiadu, armię, jeśli kraj ten nie chce ulec rozgromieniu przez otoczenie kapitalistyczne. Rosyjscy marksści doszli do wniosku, że formuła Engelsa ma na uwadze zwycięstwo socjalizmu we wszystkich krajach lub w większości krajów, że nie da się ona zastosować do wypadku, gdy socjalizm zwycięża w jednym, z osobna wziętym kraju, we wszystkich zaś innych krajach panuje kapitalizm.

Jak widać, mamy tu dwie różne formuły, dotyczące zagadnienia losów państwa socjalistycznego, które wykluczają się nawzajem.

Mole książkowe i talmudyści mogą powiedzieć, że okoliczność ta stwarza sytuację nie do zniesienia, że należy jedną z tych formuł odrzucić, jako bezwarunkowo błędną, drugą zaś, jako bezwarunkowo słuszną — rozszerzyć na wszystkie okresy rozwoju państwa socjalistycznego. Ale marksści nie mogą nie wiedzieć, że mole książkowe i talmudyści myślą, że oba te wnioski, że formuły są słuszne, lecz nie absolutne, a każda dla swego czasu: formuła radzieckich marksistów — dla okresu zwycięstwa socjalizmu w jednym lub kilku krajach, formuła zaś Engelsa — dla tego okresu, gdy następujące po sobie zwycięstwo socjalizmu w poszczególnych krajach doprowadzi do zwycięstwa socjalizmu w większości krajów i gdy zostaną w ten sposób stworzone warunki niezbędne dla zastosowania formuły Engelsa.

Liczbę takich przykładów można by zwiększyć.

To samo należy powiedzieć o dwóch różnych formułach, dotyczących zagadnienia języka, wziętych z różnych prac Stalina i przytoczonych przez tow. Chołopowa w jego liście.

Tow. Chołopow powołuje się na pracę Stalina „W sprawie marksizmu w językoznawstwie”, w której sformułowany jest wniosek, że w wyniku skrzyżowania, powiedzmy, dwóch języków, jeden z języków zazwyczaj wychodzi jako zwycięzca, drugi zaś obumiera, że więc skrzyżowanie daje nie jakiś nowy, trzeci język, lecz zachowuje jeden z języków. Dalej powołuje się on na inny wniosek, wzięty z referatu Stalina na XVI Zjeździe WKP(b), w którym mowa, że w okresie zwycięstwa socjalizmu w skali światowej, gdy

socjalizm okrzepnie i wejdzie w byt, języki narodowe muszą się nieuchronnie zlać w jeden język wspólny, który oczywiście, nie będzie ani wielkorosyjskim, ani niemieckim, lecz czymś nowym. Porównawszy te dwie formuły i widząc, że nie tylko nie godzą się one z sobą, lecz wzajem się wykluczają, tow. Chołopow wpada w rozpacz. „Z artykułu Waszego — pisze on w liście — zrozumiałem, że ze skrzyżowania języków nigdy nie można otrzymać jakiegos nowego języka, a do ukazania się artykułu byłem mocno przekonany, zgodnie z Waszym przemówieniem na XVI Zjeździe WKP(b), że przy komunizmie języki zleją się w jeden język wspólny”.

Jest rzeczą oczywistą, że tow. Chołopow, po odkryciu sprzeczności między tymi dwiema formułami i w głębokiej wierze, że sprzeczność należy zlikwidować, uważa za potrzebne pozbycie się jednej z formuł, jako niesłusznej i uczepienie się drugiej formuły, jako słusznej dla wszystkich czasów i krajów, ale jakiej mianowicie formuły uczepić się — nie wie on. Powstaje coś w rodzaju sytuacji bez wyjścia. Tow. Chołopow nie domyśla się nawet, że obie te formuły mogą być słuszne — każda dla swego czasu.

Tak zawsze bywa z molami książkowymi i talmudystami, którzy, nie wnioskując w istotę sprawy i cytując w sposób formalny, bez uwzględnienia warunków historycznych, o których mówią cytaty, niezmiennie wpadają w sytuację bez wyjścia.

Tymczasem zaś, jeśli wnioskując merytorycznie w zagadnienie, nie ma żadnych podstaw by uważać, że sytuacja jest bez wyjścia. Rzecz w tym, że broszura Stalina „W sprawie marksizmu w językoznawstwie” i przemówienie Stalina na XVI Zjeździe partii mają na uwadze zupełnie różne epoki, w wyniku czego otrzymujemy też różne formuły.

Formuła Stalina w jego broszurze w części, dotyczącej krzyżowania się języków, ma na uwadze epokę przed zwycięstwem socjalizmu w skali światowej, gdy klasy wyzyskujące stanowią panującą siłę na świecie, gdy ucisk narodowy i kolonialny pozostaje w mocy, gdy odosobnienie narodowe i wzajemna nieufność narodów utrwalone są przez różnicę państwowe, gdy nie ma jeszcze równouprawnienia narodowego, gdy krzyżowanie się języków odbywa się w trybie walki o panowanie jednego z języków, gdy nie ma jeszcze warunków dla pokojowej i przyjaznej współpracy narodów i języków, gdy na porządku dziennym stoi nie współpraca i wzajemne wzbogacanie się języków, lecz asymilacja jednych języków i zwycięstwo innych. Jest rzeczą zrozumiałą, że w takich warunkach mogą być jedynie języki zwycięskie i zwyciężone. Właśnie te warunki ma na uwadze formuła Stalina, gdy mówi ona, że skrzyżowanie, powiedzmy, dwóch języków daje w wyniku nie utworzenie nowego języka, lecz zwycięstwo jednego z języków i klęskę drugiego.

Co do drugiej zaś formuły Stalina, wziętej z przemówienia na XVI Zjeździe partii, w części, dotyczącej złańia się języków w jeden język wspólny, to tu ma się na uwadze inną epokę, a mianowicie epokę po zwycięstwie socjalizmu w skali światowej, gdy nie będzie już istniał imperializm światowy, klasy wyzyskujące będą obalone, ucisk naro-

dowy i kolonialny będą zlikwidowane, odosobnienie narodowe i wzajemna nieufność narodów zostaną zastąpione przez wzajemne zaufanie i zbliżenie narodów, równouprawnienie narodowe wcielone będzie w życie, polityka dławienia i asymilacji języków będzie zlikwidowana, współpraca narodów zostanie zorganizowana, a języki narodowe będą miały możliwość swobodnego wzajemnego wzbogacania się w trybie współpracy. Jest rzeczą zrozumiałą, że w tych warunkach nie może być nawet mowy o zdlawieniu i klęsce jednych języków, a zwycięstwo innych. Tu będziemy mieli do czynienia nie z dwoma językami, z których jeden doznaje klęski, drugi zaś wychodzi z walki jako zwycięzca, lecz z setkami języków narodowych, z których w wyniku długotrwałej współpracy ekonomicznej, politycznej i kulturalnej narodów będą się najpierw wyłaniały najbardziej wzbogacone, jednolite języki strefowe, a następnie języki strefowe stopią się w jeden wspólny język międzynarodowy, który oczywiście nie będzie ani niemieckim, ani rosyjskim, ani angielskim, lecz nowym językiem, który wchłonał w siebie najlepsze elementy języków narodowych i strefowych.

A zatem dwie różne formuły odpowiadają dwóm różnym epokom rozwoju społeczeństwa i właśnie dlatego, że odpowiadają tym epokom, obie formuły są słuszne — każda dla swojej epoki.

Domagać się, aby te formuły nie znajdowały się w sprzeczności wzajemnej, aby nie wykluczały się wzajem — jest równie niedorzeczne, jak niedorzeczne byłoby domaganie się, aby epoka panowania kapitalizmu nie znajdowała się w sprzeczności z epoką panowania socjalizmu, aby socjalizm i kapitalizm nie wykluczały się wzajem.

Mole książkowe i talmudyści rozpatrują marksizm, poszczególne wnioski i formuły marksizmu jako zbiór dogmatów, które „nigdy” nie zmieniają się, mimo zmiany warunków rozwoju społeczeństwa. Myślą oni, że jeśli nauczą się na pamięć tych wniosków i formuł i zaczną cytować je na wszelkie sposoby, to będą w stanie rozwiązywać wszelkie zagadnienia, licząc na to, że wyuczone wnioski i formuły przydadzą im się dla wszystkich czasów i krajów, we wszystkich wypadkach w życiu. Tak jednak mogą myśleć tylko ludzie, którzy widzą literę marksizmu, ale nie widzą jego istoty, wykują na pamięć teksty wniosków i formuł marksizmu, lecz nie rozumieją ich treści.

Marksizm jest nauką o prawach rozwoju przyrody i społeczeństwa, nauką o rewolucji uciskanych i wyzyskiwanych mas, nauką o zwycięstwie socjalizmu we wszystkich krajach, nauką o budownictwie społeczeństwa komunistycznego. Marksizm jako nauka nie może stać w jednym miejscu — rozwija się on, doskonali. W rozwoju swym marksizm nie może nie wzbogacać się nowym doświadczeniem, nową wiedzą — a więc poszczególne jego formuły i wnioski nie mogą nie zmieniać się z biegiem czasu, nie mogą nie ustępować miejsca nowym formułom i wnioskom, które odpowiadają nowym zdaniam historycznym. Marksizm nie uznaje niezmiennych wniosków i formuł, obowiązujących dla wszystkich epok i okresów. Marksizm jest wrogiem wszelkiego dogmatyzmu.

28 lipca 1950 r. J. STALIN

Przełożył ARTUR SANDAUER

HARPAGON

Jak to różne liczykrupy ciągną towar do chałupy

Koltun — bywa różnorodny, wszelkich maści i odcieni.
Można temu dać nagrodę, kto by wszystkie je wymienił. Kształt tych ludzi — wieloraki.
Weźmy przykład: i po zgonie facet taki, jak przed laty stał w ogniu,
Jeżeli Związek trudniejszy ma moment, ten ma już boja przed bojem.
O nadchodzących zdarzeń ogromie sposobem rozmyśla swoim:
— „Coś tam znów się w Polsce święci...
trzeba, gdy okazja jest, wszystko skupić, co najwięcej zebrać i do domu zwieźć.
Wielki głód towarów wszelkich zapowiada wojna nam.
No, pomyślcie, a gdzie szelki wtedy sobie kupić mam?
Cukrem przegrzyć? Jam nie swatka.
Pić ze spodka — zwyczaj bab.

Czy mi cukier i herbatkę namaluje wtedy ZAP?!(*)
Widząc, że towarów w bród, zdjęty nagłym szaleem facet kupił cały pud dyrygenckich palek. — „Ludziom w głowie nic prócz uc'ech.
Wojna buch za parę lat.
Nagle każą — dyrygujcie!
Łaps, a tu paleczek brak!
Szukaj tu i szukaj tam!
Nigdzie nie dostanie!
Kupię, gdy okazję mam, i dużo i tanio“.
A wam pocóż cały gwałt ten?
Z was nie muzyk, lecz buchalter.
— „Z paleczkami w każdym razie człowiekowi jakoś raźniej“.
O dwóch rewolucjach wzniosła się wieść.
Grały armaty. Huczał huragan.
A ty, jak byleś, takiś i jest wesz oswojona, skrzętny Harpagon.

*) ZAP — Związek Artystów Plastyków.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

O twórczej metodzie sztuki radzieckiej

TRZYTYGODNIOWY pobyt polskiej delegacji pracowników kultury i sztuki w Związku Radzieckim przekształcił się w sumienne studium systemu organizacyjnego i codziennej pracy radzieckiego szkolnictwa artystycznego. Uprzejmi gospodarze dali nam możność pełnego zapoznania się z działalnością swoich szkół i akademii. Brałszy udział w egzaminach wstępnych i dyplomowych, słuchaliśmy obrony naukowych dysertacji, zapoznawaliśmy się z pracą naukowych zakładów i związków artystycznych, przenikaliśmy za kulisy muzeów, teatrów, oper i filharmonii, a nade wszystko rozmawialiśmy z ludźmi teatru i z profesorami szkół, z młodzieżą i z działaczami stowarzyszeń artystycznych, a wreszcie po prostu z człowiekiem radzieckim.

W ten sposób rósł w nas obraz osiągnięć i zdobyczy radzieckiej kultury. Jej profil i jej kierunek walki.

Co nas uderzyło w pierwszym rzędzie, gdy mówimy o drodze rozwojowej sztuki radzieckiej? Umiejętność patrzeć na przebyte procesy z perspektywy etapu, który się konkretnie przechodzi, i z perspektywy przyszłości, o którą się konkretnie walczy. Tu „dwuwymiarowość” oceny daje dopiero to niezawodne wycieście nowego, tak charakterystyczne dla działacza kulturalnych Związku Radzieckiego, daje im pewność uogólnień, posiadających ścisłość naukową, wypracowaną w oparciu o laboratoryjną analizę błędów, osiągnięć i doświadczeń.

W Kijowskim Instytucie Sztuki zademonstrowano nową wystawę typowych prac malarskich za cały okres rozwoju sztuki radzieckiej. To jest od awangardyzmu lat 1918—20 poprzez wszystkie odmiany deformacji formalistycznej, aż do okresu obecnego, okresu zwycięstwa twórczej metody socjalistycznego realizmu. Wystawa ta powiadała nam więcej niż niejedna praca naukowo-teoretyczna. Pokazała nam źródło formalizmu, tkwiącego korzeniami w idealistycznej filozofii Macha i Bergsona, a więc odrzucającej leninowską teorię odbicia, leninowską teorię poznania rzeczywistości, realnego świata. Przeszliśmy na tej wystawie cały okres pustoszenia sztuki przez formalistyczne szkoły, które, zaprzeczając kierowniczej funkcji w sztuce treści ideowych odsuwały ją od przysięgi narodu, jego walk i jego zwycięstw. Systematycznie wyjąłowanie wyobraźni artysty, któremu odebrano prawo do twórczego odtwarzania rzeczywistości, musiało doprowadzić do odrzucenia metody klasycznego rysunku, musiało doprowadzić do odrzucenia psychologicznej prawdy otaczającego nas świata i zorganizowanej świadomości kompozycji, podsuwając w zamian twórcom sztucznie wykoncypowaną konwencję abstrakcyjnego myślenia. W obliczu budowania podstaw socjalizmu i kształtowania się świadomości nowego człowieka, podobnie wyizolowania od życia metoda twórcza musiała logiką swojego upadku stanąć przedziej czy później w sprzeczności z potrzebami nowego ustroju, stając się tym samym narzędziem wroglej penetracji imperializmu.

Lata 1932—34 to początek walki z formalizmem. To próba ukształtowania metody realizmu socjalistycznego. Uchwały Biura Politycznego WKP(b) są dla artystów drogowskazem, określają kierunek walki. Pierwsze próby. Straszliwe skutki spustoszenia formalistycznego dają bezwzględnie znać o sobie. Mimo nowej, socjalistycznej tematyki, w obrazach występują długo jeszcze schematyzm postaci, nieudolność kompozycji, brak psychologicznego pogłębienia, wynaturzenie naturalistyczne.

Naukę rysunku należało zacząć od początku. Należało zacząć od studiów wielkich realistów przeszłości. Należało jasno i otwarcie oprzeć się o ich podstawowe zasady, do których należały w pierwszym rzędzie zaliczyć: ściśłość obserwacji.

Sumienną analizę szczegółów. Wzajemne oddziaływanie poszczególnych elementów w ukształtowaniu całości, w ukształtowaniu syntezy. Prawdziwość psychologiczną kompozycji i człowieka. Kolor, barwę, układ kompozycji podporządkowany naczelnym idei, treści.

Mocne osadzenie kompozycji w narodowym nurcie rozwojowym i przesublimowanym twórczo — kolorystyce ludowym (wielka rola „Pieredwizników”).

Dopiero w oparciu o te podstawowe zasady można było rozpracować podstawowe założenia realizmu socjalistycznego, które można sprowadzić do następujących węzłowych punktów:

Decydująca rola idei obrazu, rzeźby czy utworu. Ideowość sztuki podniesiona do partyjności. Oczywiście nie w sensie przynależności partyjnej autora, ale w sensie uświadomienia sobie kierowniczej roli partii.

Idea — określa syntezę kompozycji, której są podporządkowane wszystkie elementy całości: rysunek, kompozycja bryły, kolor, artystyczne środki wyrazu.

Założenia prawdy psychologicznej zarówno w rozumieniu całości kompozycji, jak i przede wszystkim sylwetki człowieka.

Kierowniczka rola człowieka, myśli ludzkiej w odniesieniu do każdego zjawiska, nawet pejzaju.

Szczegół jako element całości. Szczegół wybijający się w obrazie czy rzeźbie do roli samodzielnej rozbija jedność ideową obrazu, jest typowym zjawiskiem naturalizmu i jako taki jest ostro zwalczany.

Optymizm. Wiza przyszłości. Akcent zwycięstwa człowieka, nawet w jego śmierci. Optymizm tragicznych zmaganiach w obronie ojczyzny.

Precyzja formalna. Walka o formę. O wielką formę sztuki socjalistycznej.

Lata ostatnie mówią jasno o zdecydowanym wyjściu sztuki radzieckiej z początkowego schematyzmu i niejednokrotnie bezradności formalnej, będącej ciężkim dziedzictwem okresu formalizmu, do roli sztuki produkującej, zarówno pod względem ideowych wartości jak i formalnych.

Widziana przez nas wystawa ogólnozwiązkowa oraz wystawy Leningradzka i Kijo-

wska świadczą o wielkim, światowym zwycięstwie realistycznej sztuki radzieckiej, zwycięstwie przesądającym jej dalszy kierunek rozwojowy na okres najbliższego etapu historycznego. Rezultaty pracy szkół są jeszcze bardziej przekonujące i jeszcze bardziej pełne w swoich praktycznych rozwiązaniach. Nowe pokolenie, to pokolenie ludzi, którzy w precyzyjnym opanowaniu marksistowskich zasad ideowych oraz zasad rysunku i praw kolorystyki zdobyli niezawodne narzędzie pracy dla swoich dalszych rozwiązań technicznych i formalnych.

Rozwój umiejętności plastycznych zaczyna się w szkole radzieckiej od 7—8 roku życia. Dziecko, które przejawia określone zdolności jest systematycznie prowadzone przez całą jedenastolatkę i dzięki temu przychodzi do Instytutu już jako niemal sformowany artysta. Dalsze lata pracy to rozwój jego indywidualności w oparciu o całą wiedzę współczesnej nauki i współczesnej, realistycznej sztuki.

Wracając do omawianej wyżej specjalnie dla nas zorganizowanej wystawy łatwo odnaleźliśmy na niej i nasz własny etap. Odpowiada on radzieckiemu okresowi 1936—37 roku. Pierwsze ich lata zmagani i walk, które jednak cechuje jeszcze znaczne ubóstwo kolorystyczne i schematyzm postaci, przyśmiętych próbach wyjścia z impasu na drodze postawienia sobie nowych zadań kompozycyjnych i tematycznych. I dlatego jest rzeczą bezsporną, że właśnie doświadczenia radzieckie, ich realne już dzisiaj wielkie osiągnięcia pozwoliły nam przejść szybciej cały okres przełomu, pod warunkiem oczywiście, że zmienimy zdecydowanie pracę naszych szkół, że wprowadzimy do szkół rysunek, że nauczymy młodzież obcować z naturą i kształtować swą wyobraźnię zgodnie z realnie istniejącym światem. Ze potrafimy oprzeć się o wielki nurt naszego malarstwa realistycznego, że pogłębimy świadomość ideową polskich artystów i że będziemy pracować, poznając osiągnięcia i zwycięstwa sztuki radzieckiej.

Zatrzymaliśmy się w swoich rozważaniach dłużej na plastyce, są one bowiem bardzo charakterystyczne i dla rozwoju muzyki oraz literatury, filmu i teatru.

Wszędzie ofensywa kulturalna rozwija się z tych samych pozycji. Z pozycji przełożenia na realistyczny warsztat twórcy wielkich idei naszej epoki. A więc zasada jedności treści i formy. Jedności materialistycznego poglądu na świat i jedności formy twórczej, będącej realistycznym przetworzeniem rzeczywistości świata. Nowa forma sztuki socjalistycznej wyrasta z nowych idei i z postępowej przewartościowania wielkich, twórczych tradycji realistycznej sztuki, a nie z abstrakcyjnych założeń, wydedukowanych sztucznie w psychozie nienawiści i lęku przed prawdą naszych dziejów.

I dlatego sztuka radziecka jest dzisiaj twórczym ogniem walki o największe idee swojego kraju. Jest sztuką walcząca, wielką i twórczą. Kroczy z całym narodem i kształtuje naród. Jest dumna z wielkiej wychowawczej roli wobec człowieka radzieckiego. I jest dumna, że kształtuje ją praca i walka tegoż człowieka.

Stąd też nowa dramaturgia radziecka walczy dziś, podobnie jak i plastyka o pogłębienie swojej znajomości życia, a zwłaszcza o pogłębienie prawdy psychologicznej postaci, o silniejsze niż dotąd wydobycie roli klasy robotniczej w konkretnej, realnej sylwetce człowieka pracy. I dlatego jest tak popularna i bliska narodowi. Byliśmy na wielu najnowszych sztukach radzieckich. „Cudzy Cień”, „Niezapomniany rok 1919”, „Rodzina”, „Głos Ameryki”, „Misurjiski Walc” i innych. Nigdy i nigdzie nie widzieliśmy podobnej reakcji widowni. Ludzie patrząc na sztukę przeżywali każdy na swój sposób samego siebie. I gdy autor upraszczał problem, lub

człowieka, krytykowali go gorąco, szczerze i bezpośrednio, gdy pozwalał im dostrzec swój front zmagani — nagradzali go żywotową, niemilkłącą długą owacją. I trudno o większą miłość niż miłość radzieckiego widza do swojego artysty. Długo po zakończeniu sztuki wywołują zarówno autorów jak i aktorów, oklaskują ich, wyrażają im swój bezpośredni entuzjazm. I tak jest nie tylko na premierze. Tak jest co dzień.

Czy to oznacza, że zatarto granicę między sztuką i życiem. Ze sztuka stała się fotografią, mechanicznym odbiciem procesów i zjawisk rzeczywistości.

Nic bardziej błędnego.

Artyści radzieccy wszędzie i zawsze przestrzegali nas przed rzemieślniczym stosunkiem studentów do sztuki. Rzemiosło to jeszcze nie sztuka — mówiono nam — sztuka zaczyna się tam, gdzie mamy do czynienia z indywidualnie ukształtowaną wyobraźnią. Gdy autor, w oparciu o gruntowną analizę rzeczywistości potrafi zdobyć się na jej własne ukształtowanie tak kompozycyjne jak i formalne, dopiero wówczas zaczyna się istotny proces twórczy. Dopiero twórczy, przekształcający stosunek do rzeczywistości daje artyście oddech przyszłości i głębię teraźniejszości. Parafrazując słowa Karola Marksa można powiedzieć, że zadaniem artysty jest nie tylko poznać świat, lecz go w znaczeniu realnym stworzyć. Bez indywidualnego przeżycia artystycznego, bez indywidualnego wysiłku kompozycyjnego, bez własnego stylu, nie ma sztuki.

Toteż i muzykolodzy radzieccy, w odpowiedzi na zarzuty formalistów, że obserwujemy w Związku Radzieckim nawrót do układu harmonicznego XIX wieku, oświadczają słusznie, że podobne stanowisko jest w gruncie rzeczy tak typowym dla abstrakcyjności pomieszanego pojęć, przekreślającym indywidualność człowieka. W rzeczywistości bowiem tyle ile jest prawdziwych kompozytorów, tyle jest układów harmonicznych. Każdy z wielkiej piątki rosyjskiej miał własny układ harmoniczny, chociaż każdy tkwił w nurcie narodowym i w założeniu melodycznego języka. Odrzucamy zasady klasyczny, a nie ich styl, a nie ich język harmoniczny. Walczymy nie tylko o własny styl swojej epoki, lecz o własny styl każdego radzieckiego kompozytora. Dopiero bowiem własny profil artystyczny mówi o talencie.

I tak jest w każdej dziedzinie sztuki.

I dlatego w szkołach radzieckich już od pierwszych lat nauki kładzie się niezwykle poważny nacisk na indywidualne odczytanie autora (również np. i muzycznego), indywidualną interpretację aktorskiej roli oraz indywidualny styl twórczy.

Profesor, który narzuca uczniowi swoją szkołę jest ostro i bezwzględnie krytykowany. Profesor winien dać uczniowi precyzyjne narzędzie twórcze i wyzwoleć indywidualność młodego twórcy, a nie sfałszować go według swoich założeń. Treść socjalistycznych idei jest bazą, podstawą, jest „duszą” rozwoju własnej indywidualności człowieka. Idee socjalizmu nie ujednolniają profilu twórców, lecz różnicują je, wzbogacają, ustokrotniając możliwości twórcze.

To właśnie formalizm i jego odmiana naturalistyczna narzuca kosmopolityczny manierę twórczą, niszczy profil narodowy, zabija indywidualność. Natomiast realizm socjalistyczny przywraca twórcą godność artysty, zwraca mu własny warsztat twórczy i czyni artystę własnością narodu

I to jest siłą twórczej metody sztuki socjalistycznej, siłą ustroju, wywołującego poczucie przynależności do człowieka, siłę jego poznania i wielkość jego osobowości w społeczeństwie wolnego świata, świata triumfu pokoju i socjalizmu.

Włodzimierz Sokorski

FLORIAN MIEDZIŃSKI

Piesza wędrówka Engelsa po drogach Francji

W 55 rocznicę zgonu Fryderyka Engelsa warto przypomnieć mało znany szczegół z jego życia: piesza wędrówka, jaką odbył z Paryża do Szwajcarii, po której pozostał wysokiego gatunku literackiego szkic podróży, a właściwie fragment, gdyż pełne walki i prac naukowych życie nie pozwoliło Engelsovi go dokończyć. Nawet ten fragment pozwala nam jednak poznać wspólnie twórcę socjalizmu naukowego, jako człowieka pełnego zamiłowania do pięknych stron życia, umiejącego patrzeć na ludzi i rzeczy okiem malarza i opisać ich piórem literata.

Było to w końcu 1848 r. Wiosna Ludów miała tragiczny koniec także w Nadrenii, gdzie wówczas przebywał Engels jako redaktor „Neue Rheinische Zeitung”. Po krwawych walkach ulicznych na ulicach Kolonii ogłoszono tam stan oblężenia, zawieszono wydawanie gazety i ściągano jej redaktorów. Wówczas Engels postanowił schronić się na czas pewien za granicą. Udał się więc najpierw do Belgii, następnie do Paryża, skąd po krótkim pobycie ruszył w stronę Berna szwajcarskiego pieszo, gdyż — jak zaznaczył w swych wspomnieniach z tej podróży — „pieniędzy nie miałem wiele”.

Te to okoliczności stały się przyczyną pieszej wędrówki młodego Engelsa drogami Francji i im zawdzięczamy ciekawy dziś jeszcze opis tej podróży. Opis pozostał niedokończony i po śmierci Engelsa znalazł go wśród pozostałych manuskryptów Edward Bernstein. Znalazłszy fragment ogłosił Bernstein w numerach 1 i 2 „Neue Zeit”, rocznika 1898.99.

Już pierwsze zdania zdradzają, jak rozkochany w krajoznictwie francuskim — i Francji i im zawdzięczamy ciekawy dziś jeszcze opis tej podróży. Opis pozostał niedokończony i po śmierci Engelsa znalazł go wśród pozostałych manuskryptów Edward Bernstein. Znalazłszy fragment ogłosił Bernstein w numerach 1 i 2 „Neue Zeit”, rocznika 1898.99.

„La belle France! W istocie, Francuzi posiadają piękny kraj i mają rację, jeśli są z niego dumni.

Jakżby bowiem kraj w Europie może się mierzyć z Francją bogactwem, różnorod-

nością urządzeń i produktów, uniwersalnością?”

„Położona nad trzema morzami, przecięta w trzech kierunkach przez pięć wielkich rzek, na północy o klimacie prawie że niemieckim i belgijskim, na południu zaś włoskim; na północy pszenica, na południu kukurydza i ryż; na północy rzepak, na południu oliwka; na północy len, na południu jedwab, a prawie wszędzie wino”.

Podobnie jak dziś, tak też za czasów Marksa i Engelsa burżuazja straszyla łatwowiernych, że socjalizm to wyrzeczenie się wszelkiej radości życia, to ponury, szary byt. W barwach jak smoła czarnych malowała więc straszny jej i niezrozumiały „nowy świat”, widoczny już z pierwszych hałsów twórców naukowego socjalizmu. Nie przejmował się tym młody rewolucjonista, kiedy chwila wytchnienia w walce pozwalała mu się rozkoszować widokiem francuskich winnic. Wspomnienie ich szlachetnego produktu natchnęło go do napisania prawdziwego hymnu na cześć win francuskich:

„I co za wino! Co za różnorodność, od Bordeaux do Burgundia, od Burgundia do ciężkiego St. Georges, Lunel i Frontignan południa, a od nich do szumiącego szampana! Co za różnorodność wina białego i czerwonego, od Petit Maçon lub Chablis do Chambertina, Chateau Laroze, Sauterne, Roussillon, Ai Mousseux! I jeśli się zwąży, że każde z tych win inny wytwarza nastroj, że dzięki kilku butelkom można przejść wszystkie stopy od kwadręły Murarda do Marsylianki, od szalonej wesołości kankana do dzikiej namiętności gorączki rewolucyjnej, by się móc wreszcie przeciwić butelką szampana w najweselszy nastroj karnawałowy świata!”.

Któżby bogaty mieszczuch francuski, żyjący wygodnie z kapitału „rewolucyjności” swych przodków, mógł tak spojrzeć na sto-

EGON NAGANOWSKI

Portret moralisty

Książka André Chamsona, nosząca frapującą tytuł „Studnia cudów”¹⁾ właściwie niewiele ma wspólnego z powieścią. Należy ją raczej określić jako relację opowiadającego w pierwszej osobie obserwatora, za którym ukrywa się zapewne sam autor. Obserwator ten przypominający w typie niektóre postacie Anatola France'a z właściwym im intelektualizmem i estetyzmem, samotnictwem i mieszczkańsko-rentierską biernością życiową, spędza dni na podpatrywaniu i filozoficznym komentowaniu tragicznej rzeczywistości z czasów faszystowskiej niewoli podczas ostatniej wojny. Przez okno swego pokoju obserwuje niewielkie podwórce, podobne do studni, oraz uliczkę biegnącą za murem, czasami wychodzi i spotyka przyjaciół, o rzeczach zaś niedostępnych dla jego oka dowiaduje się od właścicieli sklepu z króliczymi skórkami, dwóch starych panien, które są zawsze doskonale poinformowane o przebiegu i kulminacjach miejscowych wydarzeń.

Chamson uczyniłszy ze swego bohatera zawodowego — żeby się tak wyrazić — obserwatora, nie wtajemnicza nas prawie wcale w realia jego życia, nie wiemy kim jest, skąd się wziął w położonym gdzieś w tzw. „nieokupowanej” Francji mieście, z czego się utrzymuje itd. Poznajemy go jedynie w wyznaczonej mu przez autora roli. Poza tą rolę nie istnieje. Tak jak aktor, którego życie prywatne jest nam zupełnie nieznane. „Byłem — powiada o sobie — jak gdyby szpiegiem z innego świata, w świecie, którego nienawidziłem. Wszystko, co widziałem, przybierało w moich oczach wygląd fantastyczny, żalony lub wspaniały, było — sam już nie wiem — z Hoffmanna czy Szekspira”.

Nazwisko autora „Eliksirów diabelskich” padło tu zupełnie nieprzypadkowo. Niektóre fragmenty „Studni cudów” i niektóre jej postacie w istocie przywodzą na myśl osobliwe opowiadania niemieckiego romantyka lub też — może bardziej jeszcze — tak kiedyś u nas głośno książki Schulza i Gombrowicza. Rzeczywistość ulega u Chamsona chwila mi silnej deformacji i udziwieniu, „zanika” — jeżeli można tak powiedzieć — ginie w mroku północy, lub też przecinanie, rozdyma się, urasta do symboliczno — alegorycznych wzgl. groteskowo — potwornych rozmiarów. A nawet tam, gdzie jest zupełnie realistycznie oddana, obracamy się faktycznie w świecie symboli, które mają w skrócie obrazować strach i nędzę petainowskiej Francji. Jeżeli do tego wszystkiego dodamy jeszcze trochę impresjonizmu, trochę proustowskiej egzotyki psychologicznej czy psychopatologicznej, dużo wytrawnej i celnej ironii, kunsztowną metaforę, użytą po to, by ominąć takie słowa, jak „Niemy”, „fasyzm”, „okupacja”, „Petain”, „Hitler” itp., a wreszcie błyskotliwy polot starannie wyszlifowanego stylu — to z grubszą biorąc wyczerpiemy listę środków i chwytów pisarskich, którymi posługuje się Chamson.

Wypada teraz odpowiedzieć na pytanie, czy wobec tego, cośmy dotychczas powiedzieli, należy w „Studni cudów” upatrywać wyłącznie lub przede wszystkim jakąś formalistyczną „dzijną zabawę”, dobrego, lecz dekadentkiego pióra, czy też przynosi ona coś więcej, coś, co nadaje jej trwałszą wartość. Otóż ważne tu jest, że Chamson okazuje się w „Studni cudów” nie tylko wyrafinowanym intelektualistą i estetą, lecz również, a raczej przede wszystkim człowiekiem o wyczulonym sumieniu, moralistą wrażliwym na ludzką nędzę. Dlatego może obrazy nędzą, krzywdy i poniżenia są w książce najbardziej realistyczne i bezpośrednie. Głód, obrabowane z radości dzieci, bawiące się w „nic”, bezdomne psy, chwytane i zabijane przez hyla, urocy „pan z Wiednia” aresztowany przez agentów quilingowskiego rządu, wuj Mathurin, który uciekłszy w krainę obłąkańczych marzeń ginie w nurtach

¹⁾ Anré Chamson: „Studnia cudów”, powieść, przeł. Ryszard Matuszewski, str. 250, „Czytelnik” 1950.

rzecki, rezerwistka Maria, sprzedająca się fabrykantowi za palerki konserw i kartki chlebne — oto galeria bezbratnych ofiar wojny, okupacji i faszyzmu, palerka istot, pokazanych — mimo niewątpliwie symboliki, mimo podwójnego dna znaczeniowego — z wstrząsającą, pełną prostoty prawdą.

Gdy przyszedłszy od przesładowanych do przesładowców, znajdziemy się w innym wymiarze, wehoczimy do panopticonu. W panopticonie tym straszny reprezentacyjny dla czasów pogardy hycel, („Wszelchwilny hycel”), straszny „szpecl oświecony”, kian Tournaise, Delpoux, Paintendrew i Boccardów — burżuazyjnych wyżysławczy i kolaboracjonistów, należących do odkrytej przez autora rasy „mnie — mnie — mnie”, dając, jako szczególny okaz pani Paintendre, oszukanka filantropka i niemaszowa „pozeraczka rozkoszy”, a wreszcie najbardziej makabryczny fantom — „Głowacz-brzechomowca”, ucieleśniona alegoria zdrady, podłości, pychy i przemocy.

Właśnie na przykładzie nie mającego artystycznie nic wspólnego z realizmem „Głowacza-brzechomowca”, widać najlepiej, że pozarealistyczne chwytły Chamsona są czymś więcej niż tylko formalistyczną igramską. Głowacz — to jakby koncentrat straszliwej faszysty, „postać” nadająca się do „Guerniki” Picassa. W każdym razie strony książki, poświęcone krytyce i demaskowaniu kapitalistycznych, egoistycznych potworów, pszcarki i obłudników, krytyce obywateli „idealistów” i samowładnych przedstawicieli bezwstydnie oszukiwanej ludności i cynicznie sprzedawanej ojczyzny, są mimo zastrzeżeń, które można wysunąć, wręcz znakomite. To rzeź bezlitosna, satyra gryząca, ideologicznie jasny obrachunek z ludźmi, który tradycyjnemu „przystosowywali się do wszystkich ustrojów, byli po stronie wszystkich zwycięzców, deptali wszystkich zwyciężonych”.

Mozna by się spodziewać że autor, który skreślił tyle przejmujących obrazów nędzy i cierpienia, który przy pomocy alegorii dobitnie napiętnował rodzimym faszyzm i niewiarygodnie stojący za nim hitlerizm, a zarazem napisał wspaniały pamflet na burżuazję, żerującą na ogólnym nieszczęściu i klęsce ojczyzny, że taki autor poświęci też należycie uwagę francuskiemu ruchowi oporu, walczącemu o polityczne i społeczne wyzwolenie. Ale tu Chamson sprawnie nam zawodzi. Prawdziwa walka prawie wcale dla niego nie istnieje, jego „obserwator” jest typowym człowiekiem niezdolnym do czynu, najwyżej chwiliami — i to bardzo rzadko — igra dostość nawiązując z myślą o chwytności za broń. Autor nie przecierał widać nie tylko nikogo, kto by prowadził jakąś wyraźniej zarysowaną działalność konspiracyjną. Temat ruchu oporu wyczerpuje się dla niego na kilku mglistych aluzjach — oto wszystko.

Jaki więc wydać ostateczny sąd o „Studni cudów”? Otóż znalazła w niej doskonale wyraz postawa tej bezsprzecznie sporej części mieszczańskich intelektualistów francuskich, a zarazem średnich warstw społeczeństwa francuskiego, która nienawidzi faszyzmu i potępiając kolaboracjonistów i oportunistów, nie zdobyła się jednak na czynny udział w walce o wolność, toczoną przez Resistance, a opiewanej przez takich pisarzy-bójowników, jak Louis Aragon, czy Paul Eluard. „Studnia cudów” to literacki i historyczny dokument „wewnętrzny” oporu przeciw faszystom i współpracującej z nim bogatej burżuazji a zarazem dokument „zewnętrzny” bierności wobec szalejącego zła. To protest szlachetny, bystre i myślowo śmiały, lecz życiowo słabe i tchórzliwego moralisty. Ta dwójsta postawa wpłynęła też decydująco na formę artystyczną książki. Stąd jej blaski i cienie, realizm i dziwactwo, jasne wnioski i mgliste aluzje.

Tłumaczenie Ryszarda Matuszewskiego na wysokim poziomie. Krótka przedmowa tłumacza trafnie i sprawiedliwie wyznacza książce należne jej miejsce.

Egon Naganowski

licę swego kraju, jak zbliżający się do niej młody Engels, bez pieniędzy w kieszeni, lecz z głową nabitą planami, jak przyszyły, piękny świat zostanie urządzony dla wszystkich.

„I tylko Francja ma Paryż, miasto, w którym europejska cywilizacja rozwija się w jej najpełniejszym rozkwicie, w którym złączają się nerwy historii europejskiej i z którego w odmierzonych okresach rozchodzą się elektryczne uderzenia wstrząsające całym światem; miasto, którego ludność jak żaden inny naród łączy namiętność użycia z namiętnością historycznej akcji, którego mieszkańcy umiają żyć jak najbardziej wykintni epikurejczycy Aten i umierać jak najbardziej nieustraszeni Spartanie, Alcybiades i Leonidas; miasto, które w rzeczywistości, jak mówi Ludwik Blanc, jest sercem i mózgiem świata”.

Zachwycony Paryżem, do którego zresztą przybywał nie po raz pierwszy, — „dumnym miastem położonym jak odaliska na iskrzącym się od brązu dywanie nad ciepłymi pagórkami — winnicami wijące się doliny Sekwany” — Engels okiem malarza spojrzął na stolicę Francji, „która rozrzucone wydała najlepsze swe siły, by stworzyć i pielęgnować Paryż”. Nie szczędzi mu określić, jak „królowa miast”, „jaśniejąca, wspaniała, niezrównany Paryż”, którego powstanie zrozumieć można wtedy tylko, kiedy się pozna resztę Francji. „Dopiero wtedy zrozumiałem, jak możliwym był Paryż, kiedy szedłem wzdłuż Loary, a następnie poprzez wzgórze ku winnym dolinom Burgundii”.

Niewiele czasu miał Engels w swym życiu, by zapomnieć o głównym jego motywie — walce. Patrząc na Paryż r. 1848, nie długo mógł się więc oddawać zachwyty. Nad miastem unosił się bowiem zapach krwi, po niedawnej rewolucji lutowej i po dwóch krwawych powstaniach robotników paryskich, stłumionych okrutnie przez burżuazję.

„Poznałem Paryż w ostatnich dwóch latach monarchii²⁾, kiedy burżuazja plawiła się w pełnym użyciu władzy, kiedy handel i przemysł rozwijały się znośnie, kiedy wielka i mała młodzież mieszczań-

¹⁾ Monarchii Ludwika Filipa, rządzącej w latach 1830 — 48;

miała dość jeszcze pieniędzy na użycie i hulanie, kiedy nawet część robotników była jeszcze o tyle dobrze sytuowana, by móc brać udział w ogólnej wesołości i bez trosce. Widziałem znów Paryż w krótkim czasie republikańskich młodych miesięcy, w marcu i kwietniu, kiedy robotnicy, pełni nadziei i naiwni, z największą bez troską „stawili republikę do dyspozycji trzy miesiące nędzy³⁾”, w ciągu dnia pozyskiwając się syciam chlebem i ziemniakami, a wieczorem na bulwarach sadzili drzewa wolności, palili ogień sztuczny i śpiewali Marsyliankę, gdy burżuazja, chwytając się całej dzielnicy w domach, niszczył gniew ludu załagodził paleniem różnokolorowych lamp. W październiku — dość niedobrowolnie — wrócić z powrotem. Między ówczesnym a dzisiejszym Paryżem leżały 15 maj i 25 czerwiec⁴⁾, leżała najkrwawsza walka, jaka kiedykolwiek widział świat, leżało morze krwi, piętnaście tysięcy zwłok. Granaty Cavaignaca⁵⁾ wysadziły w powietrze niezłomną wesołość paryską, zamilkły Marsylianka i Chant de Depart, tylko burżuazja nacila między zębami swe mourir pour la patrie; — robotnicy, pozbawieni chleba i broni, tłumili w sobie utajony gniew.

W szkole stanu oblężenia swawolna republika stała się szybko przywoła, łagodną, grzeczną i umiarkowaną (sage et modérée). Paryż był jednak martwy; nie był to już więcej Paryż. Na bulwarach widziało się tylko mieszczuchów i szpiegów policyjnych; bale i teatry opustosza-

²⁾ Po rewolucji z lutego 1848 r. — „Poniższe powieścieli im (robotnikom) umiarkowani, że postępu nie da się urzeczywistnić w jednym dniu, wykazali oni swoją dobrą wolę, ofiarując „trzy miesiące nędzy w służbie republiki” (Bainville).

³⁾ Po wyborach z 23 kwietnia 1848 r. reakcyjna większość zastąpiła rząd egzekutywa, z której wykluczono socjalistów. W odpowiedzi wybuchło w Paryżu w dn. 15 maja powstanie, przy czym robotnicy szturmowali Izbę Posłów przy okrzykach: „Niech żyje Polska”. — „Ponowne powstanie wybuchło 23 czerwca, na znak protestu przeciwko zamknięciu arsenałów narodowych, stłumione w krwi po 3 dnich walki”.

⁴⁾ Gen. E. L. Cavaignac, minister wojny,

JERZY TOEPLITZ

Festiwal Filmowy w Karlovyh Varach



Borys Andrejew w filmie „Upadek Berlina”, produkcji radzieckiej.



Scena z filmu „Czao”, produkcji chińskiej.



Scena z filmu „Światła miasta znowu zapłoną”, produkcji chińskiej.

Doroczne festiwale filmowe w Czechosłowacji stały się tradycyjnym przeglądem osiągnięć i prac sił postępowych światowej kinematografii. Tegoroczny Festiwal, który odbył się w Karlovyh Varach w drugiej połowie lipca, jest nie tylko najbardziej interesującym z dotychczasowych imprez urządzanych przez „Film Czechosłowacki”, ale niewątpliwie może stanąć na pierwszym miejscu w festiwalowej konkurencji powojennej. Może tylko Cannes z 1946 r., — pierwsza manifestacja filmowa po przerwie wojennej — odznaczała się takim samym bogactwem programu i taką ilością biografów w nim udział państw, jak V Międzynarodowy Festiwal w Karlovyh Varach. I tu zresztą na korzyść festiwalu czechosłowackiego przemawia pozom ideologiczny wyświetlanych filmów i brak jakiegokolwiek atmosfery handlowej o snobistycznej, ciężkiej zawsze nad zachodnio - europejskimi pokazami najnowszych filmów w Cannes, Wenecji, Locarno czy Brukseli. Hasło Festiwalu w Karlovyh Varach „Za pokój, za nowego człowieka i za doskonalszą ludzkość” było prawdziwym mianownikiem, do którego sprowadzali się zarówno filmy, jak i narady postępowych filmowców całego świata. I dlatego nie jest dziełem przypadku, że Festiwal zakończył się uchwaleniem apelu wzywającego wszystkich pracowników filmowych, aby w decydującej dla ludzkości chwili zmobilizować swe siły twórcze dla obrony pokoju i wolności człowieka.

Jakie można wysnuć wnioski i konkluzje po obejrzeniu przeszło trzydziestu filmów długometrażowych i kilkuset filmów krótkich, cwiatawowych, dokumentarnych, rysunkowych i kukielkowych? Nie wdając się w szczegółową analizę poszczególnych utworów, należy stwierdzić co następuje: po pierwsze na czołowe miejsce wysunął się film radziecki utrzymujący nadal swój prymat w filmowym obiegu pokoju i postępu, po drugie rewelacją Festiwalu były filmy Ludowej Republiki Chińskiej, wnoszące szlachetny rysunek prostoty artystycznej i szczerości, po trzecie niemiecki film „Rada Bogów” dowiódł, że w kinematografii Nemieckiej Republiki Demokratycznej nastąpił przełom, po czwarte w kapitalistycznych krajach zachodu i Ameryki twórczość postępowych filmowców staje się coraz trudniejsza i sprowadza się w praktyce do filmów dokumentarnych, realizowanych w warunkach niemal nielegalności, a po piąte wreszcie — kraje demokracji ludowej nie potrafiły w okresie sprawozdawczym stworzyć wysoko wartościowych dzieł sztuki filmowej i filmowej: polski, czechosłowacki i węgierski przeżywa jeszcze kryzys.

Zacznijmy od krótkiego omówienia sukcesów filmu radzieckiego. Wielką Nagrodę Festiwalu zdobył dwuseriowy film reżysera Czajurellego „Upadek Berlina”, wspaniały epicki utwór, otwierający nową epokę w dziejach filmu. „Upadkowi Berlina” należy poświęcić oddzielne studium, a tu ograniczymy się tylko do stwierdzenia, że autorowi scenariusza i reżyserowi udało się w mistrzowski sposób powiązać wierne historyczne sprawozdanie z wydarzeń politycznych i militarnych wielkiej wojny z dramatem osobistym przedstawicieli radzieckiego społeczeństwa. Film rozgrywa się na dwóch płaszczyznach i wprowadzając na ekran postacie Stalina, Roosevelta, marszałków radzieckich, Hitlera i t. d. obok bohaterów fabuły — hutnika i nauczycielki, pozostaje dziełem jednolitym, utrzymanym w jednakowym stylu. Widz przeżywa wojnę niejako w całości, zarówno od strony emocjonalnej poprzez przeżycia bohaterów, jak i od strony wielkich wydarzeń, od strony działań autentycznych wodzów i polityków. Po-

stać Stalina, organizatora zwycięstwa nad faszystyzmem, jest narysowana z niesłychanie przekonującą prostotą. Upadek Berlina” to dowód ogromnej miłości ludzi radzieckich do Wielkiego Wodza, dowód absolutnej jedności społeczeństwa radzieckiego, partii i jej genialnego kierownika.

Na Festiwalu wyświetlane były jeszcze cztery inne filmy fabularne radzieckie: „Kubańscy Kozacy” Pyriewa (Nagroda Pracy), „Spisek Bankrutów” Kalatyzowa (Nagroda Pokoju), „Zukowski” Pudownikina i Wasiliewa oraz „Śmiały Ludzie” Judina. Filmy te świadczą o szerokim wachlarzu tematów i rodzajów kinematografii radzieckiej. „Kubańscy Kozacy” to wesoła i barwna komedia muzyczna



Reżyser Czajurelli, twórca „Upadku Berlina”.

z życia kolchozów z doskonałą muzyką Dunajewskiego. „Zukowski” to biograficzny film o ojcu rosyjskiego lotnictwa, znakomitym uczonym, twórcy nowej nauki — aerodynamiki. „Śmiały Ludzie” to film rozrywkowy, sensacyjny w dobrym znaczeniu tego słowa, utrzymany w doskonałym tempie i obfitujący w sceny o dużym napięciu emocjonalnym. Wreszcie „Spisek Bankrutów” to ambitny film polityczny, starający w syntetyczny sposób przedstawić na ekranie rozwój historyczny krajów demokracji ludowej. W filmie tym, którego akcja rozgrywa się w nieokreślonym państwie, widzimy wydarzenia z niedawnej przeszłości Węgier, Czechosłowacji, Polski i Rumunii. Reżyser Kalatyzow pokazuje jak reakcja w tych krajach usiłowała obalić ustroj demokracji ludowej, dążąc do przeobrażenia państw w kolonię amerykańskich imperialistów. Partie komunistyczne, wyrażając wolę narodu w oparciu o szerokie rzesze pracujących, udaremniły te knowania. Stąd tytuł filmu „Spisek bankrutów”. Należy nawiasem zaznaczyć, że wszystkie wyświetlane filmy radzieckie były kolorowe, i że w tej dziedzinie uczyniony został ogromny postęp. Zarówno w „Upadku Berlina” jak i w „Kozakach Kubańskich” czy „Zukowski” mamy znakomite sceny, w których barwa stała się samodzielnym elementem dramaturgii filmowej. Od czasów „Czarodziejskiego Kwiatu” uczyniono siedmiomilowy krok naprzód. Dodajmy jeszcze, że film radziecki poszczycił się może świetnym filmem popularno-naukowym „Opowieść o lesie” reżysera Zguridi, który zastrzeżenie zdobył nagrodę w kategorii obrazów oświatowych.

Z wielkim wzruszeniem oglądaliśmy na ekranie pierwsze filmy chińskie, tak nam bliskie swym duchem i ideologią, i tak zupełnie pozbawione fałszywego egzotyzy, do którego przez długie lata przyzwyczajali nas Hollywood. Już pierwszy z filmów wyświetlanych „Światła miasta znowu zapłoną” zaimponował swoją prostotą i szlachetnością. Postać bohatera-przodownika pracy jest przekonująca i nie ma w sobie nic z szablonu, którym często grzeszą europejskie filmy na podobny temat. Dopiero jednak drugi film — „Córy Chin” stał się prawdziwym wydarzeniem artystycznym i sensacją Festiwalu. Jest to historia chińskiej partyzantki walczącej z japońskim najazdem, pełna bohaterstwa i patosu, głęboko wzruszająca i bardzo mocna, zwłaszcza w tragicznych scenach końcowych, kiedy bohaterki osaczone przez wrogów giną wszystkie, nie chcąc się poddać. W filmie zadźwięczały najpiękniejsze echa rewolucyjnej radzieckiej kinematografii — „Czapajewa”, „My z Kronsztat” czy niezapomnianego „Panicznika Patiomkina”. Nie wiemy jakie sukcesy przypadną w przyszłości w udziale chińskim filmom, jest jednak rzeczą pewną, że „Córy Chin” zajmą honorowe miejsce w repertuarze najlepszych filmów świata. Dobrze się również stało, że jury festiwalowe dało nagrodę za najlepszą kreację aktorską chińskiej artystce grającej tytułową rolę w filmie „Czao”. Świetna Shih Lian-Sing stworzyła niezapomnianą postać młodej bohaterki komunistki. Czwarły z chińskich filmów, „Życie pekińskiego policjanta”, jest bardzo interesującym studium obyczajowym o wyraznym klasowym obliczu. Po obejrzeniu tego filmu jasnym staje się sens walki wywołanej w Chinach.

Nemiecka Republika Demokratyczna wysłała na Festiwal trzy filmy, z których jeden biograficzny „Doktor Semelweiss” wyświetlany był poza konkursem. Ogólną uwagę zwróciło dzieło reżysera Kurta Maetzigiego „Rada Bogów”, doskonały ideologicznie i dramatycznie dokument filmowy o zbrodniczej działalności potężnego koncernu I. G. Farbenindustrie. Film ten można uważać za przełomowy dla nowej kinematografii niemieckiej, ponieważ po raz pierwszy wybiły się w nim realizatorzy lekkliwosc i skłonności do zamazywania konfliktów klasowych. Do problemu hitlerowskiego podchodzono w trzydziestu paru filmach, które dotychczas realizowała wytwórnia „Defa” z tchórzliwą ostrożnością, starając się nie urazić niczych uczuć. W „Radzie Bogów” mówi się po raz pierwszy z całą otwartością kim był Hitler, kto i dlaczego go stworzył. Mówi się o odpowiedzialności wielkiego międzynarodowego kapitału za wywołanie rzezi wojennej. Mówi się wreszcie o tym, kto może i powinien uratować pokój. Film ma pewne wady konstrukcyjne w początkowej części, gubi się trochę w nieistotnych szczegółach i marginesach, odzyskuje jednak w dalszym rozwoju akcji równowagę i kończy się mocnym akordem katastrofy w fabryce, będącej repliką wypadków w Ludwigschafen. Jedną z najwspanialszych zalet „Rad Bogów” jest doskonały dialog piera Fryderyka Wolfa. Film winien ukazać się na naszych ekranach w polskim dubbingu, szkoda byłoby bowiem straszczyć w napisach wypowiedzi bohaterów. Drugi niemiecki film „Nasz chleb powszedni” jest znacznie słabszy i nosi w sobie zarówno pewne cechy udowodności, jak i skłonność do naturalistycznych przesłostów i przejawskawień.

Kinematografia zachodnia reprezentowana była trzema rodzajami filmów. Do pierwszej grupy zaliczyć trzeba filmy,

ły, gamins utonęli w bluzach Gwardii Ruchomej, sprzedani przywoitej republiki za 30 sus dziennie, im zaś głupszy się stawiali, tym bardziej fetowała ich burżuazja — krótko mówiąc, był to znów Paryż z r. 1847, lecz Paryż bez ducha, bez życia, ognia i fermentu, jaki wówczas wnosił robotnicy. Paryż był martwy, a piękne jego zwłoki były tym straszniejsze im były piękniejsze.”

Z opisu tego przebiega wielki talent literacki, bije z niego — obok pasji rewolucjonisty i zjadliwej ironii demaskatora „przywitości” mieszczańskich „republikanów” — umiejętność narysowania ogromu wydarzeń kilkunastu wieściami, które na zawsze pozostaną cennym przyczynkiem do poznania tych czasów. Jest to jednocześnie twórczość rewolucjonisty, historyka i literata!

W danym momencie nie mógł jednak Engels nic innego uczynić, jak zanotować co o ujrzal. Nie chciał zaś pozostać w mieście pełnym zapachu krwi robotniczej.

„Nie mogłem wytrzymać dłużej w martwym Paryżu. Musiałem od niego odejść, obojętne, dokąd. A więc nasamprzód do Szwajcarii. A że pieniędzy nie miałem wiele — więc pieszo. A nie zależało mi na najkrótszej drodze, gdyż niechętnie zęgną się Francje.

Przeło pewnego pięknego poranka udało mi się w drodze, maszerując prosto przed siebie, na południe”.

Szedł więc Engels wzdłuż brzegów Sekwany, kierując się ku Loarze, przez Malessherbes, Puyseaux, Bellegarde i Chateaufort, a następnie szosą z Orleanu do Nevers. Szedł i zachwycał się nieustannie pięknem krajobrazu, notując skrupulatnie charakterystyczne jego cechy. Mimochoodem dowiadujemy się, że był i człowiekiem o dużym poczuciu humoru i — rysownikiem.

„Wsie i gospody spotykało się rzadko. Po kilkugodzinnym marszu natrafiam wreszcie na wielkie gospodarstwo, gdzie z wielką chęcią dano mi positek. Narysowałem za to dziecinu na papierze kilka poczwat Cavaignac, to Ludwik Napoleon Bonaparte, to Armand Marrast, Ledru-Rollin itd. — wiele im podobnych. Chłopi spoglądali z wielką czią na wykrzywione

oblicza, podziękowali mi serdecznie i podobne wiele oryginałom portrety przybili natychmiast na scianie”.

Dotarłszy do Dampierre, napotkał tam Engels grupę robotników paryskich, wyznaczonych przez rząd do zlikwidowania arsenałów narodowych. Jakis były reżnik zaawansowany na brygadiera, zaproponował Engelowi przyjęcie go do swej grupy. „Mogę tu zrobić fortunę, a pracy jest co najmniej na 6 miesięcy. Nie miałem miałem ochoty dla odmiany zamienić na miesiąc lub dwa pióra na łopate, nie miałem jednak dokumentów, wpadłbym więc”.

Tu, w Dampierre, mógł Engels zaobserwować, jak ujemnie oddziaływał na robotników oderwanie ich od swej klasy:

„Przez izolację na małej wsi byli zupełnie zdemoralizowani. Nie było śladu zainteresowania sprawami ich klasy, dotyczącymi tak blisko robotników aktualnymi zagadnieniami politycznymi dnia. Wydaje się, że gazet wcale nie czytali. Męcząca praca, stosunkowo dobry byt, a przede wszystkim oddalenie od Paryża i przeniesienie do odciętego, spokojnego zakątka Francji dziwnie ograniczyło ich horyzont. Znajdowali się już na drodze do schłopenia, będąc tu zaledwie dwa miesiące”.

Maszerując szosami pięknego Francji i zachwycając się jej barwnym krajobrazem, pozostał Engels zawsze politykiem-społecznikiem. Interesował się nie tylko wyglądem zagrod-chołopskich, szczegółowo je opisując, lecz także ich ludnością, jej umysłowością i poglądami. Interesował go — jako czynnik polityczny — chłop francuski, uwłaszczony po Wielkiej Rewolucji. Widział więc w chłopach „dobroduszy, wesoły i gościnny szczerp”, który „mimo w wysokim stopniu rozwiniętego poczucia własności do zdobytej przez ich ojców na szlache i klechach ziemi, pozostał nosicielem wielu patriarchalnych cnót”. Engels sięgnął jednak w głąb zagadnienia chłopskiego.

„Wbrew wszystkim osobistym cnotom chłopu francuskiego i wbrew lepszej niż u chłopu nadreńskiego sytuacji, chłop we Francji, podobnie jak w Niemczech, jest barbarzyńcą wśród cywilizacji. Izolacja chłopu na odległej wsi, z nieliczną, tylko z pokoleniami zmieniającą się ludnością,

wyczerpująca, jednostajna praca, która bardziej niż poddaństwo przywiązuje go do roli i która z ojca na syna pozostaje ta sama, stałość i jednostajność warunków życiowych, w których rodzina staje się najważniejszym, decydującym stosunkiem społecznym — wszystko to ogranicza horyzont chłopu do najbardziej ciasnych granic, jakie są możliwe w nowoczesnym społeczeństwie. Wielkie ruchy historii przechodzą obok niego, od czasu do czasu porwywają go z sobą, podczas gdy nie ma on najmniejszego pojęcia o istocie poruszającej siły, jej powstania i jej celu”.

„W pierwszej francuskiej rewolucji chłopowie występowali rewolucyjnie tak długo, jak długo wymagał tego ich najbliższy i bezpośredni interes osobisty: jak długo zapewniała im ona prawo własności do ziemi obrabianej dotychczas w warunkach feudalizmu, bezprowtne zniesienie tych feudalnych stosunków i usunięcie obcych wojsk z okolicy. Kiedy to zostało dokonane, z całą wściekłością ślepego pożądania skierowali się przeciw niezrozumiałemu dla nich ruchowi wielkich miast, a szczególnie przeciw ruchowi paryskiemu”.

Lecz oto myśl Engelsa znowu odchodzi od politycznych rozważań, by oddać się w pełni podziwowi krajobrazu roztaczającego się przed okiem wędrowca, które z lubością spoczywa na ciężkich księżycach winnych gron Burgundii, dokąd Engels zaszedł po opuszczeniu doliny Loary. W Auxerre był świadkiem święta winobrania. Całe miasto pławiło się w czerwieni. Engels — ironista nie darował okazji:

„Najprawdziwsza, jaskrawa czerwień barwiła mury i sienie domów, bluzy i koszule ludzi; ciemnoczerwona struga zapalała nawet rynsztoki, plamiła bruk. Czerwona republika wydawała się panować z wszystkimi jej okropnościami, gilotyna zdawała się działać w permanencji, a buveurs du sang, o których Journal des Debats tak straszliwie umie przynosić opowieści, świecili widocznie swe kanibalistyczne orgie. Czerwona republika w Auxerre była jednak bardziej niewinna; była to czerwona republika burgundzkiego winobrania...”

Jako prawdziwy Nadreńczyk i znawca szlachetnego trunku nie odmówił sobie En-

gels przyjemności wychylenia kilku szklanek starego i młodego wina, przeszedł następnie rzekę Yonne i udał się w kierunku widocznych w oddali wzgórz. Szedł wśród winnic, których barwne opisy przewijają się stale wśród wzmianek o krajobrazie. „Podpalacz świata”, bliższy swym charakterem epikurejczykom niż ascetom, z widoczną lubością wchłaniał słodkawy, ciężki zapach... W pobliżu Saint Brie dostał się wędrowiec o ośrodek winobrania:

„Na każdym kroku natrafiałem na wesołe towarzystwo, najłodsze grona i najpiękniejsze dziewoje. Uwierzy mi się chyba, że więcej z robotnikami i dziewczynami jadłem winogron, piłem wino i rozmawiając i śmiejąc się leżałem w trawie, niż piąłem się w góry, i że w tym samym czasie, w którym przeszedłem winnicę, byłbym wszedł na Blocksberg czy Jungfrau”.

Bardzo dobrze wyobrażamy sobie pogodnego Nadreńczyka leżącego w trawie, zartującemu z pięknymi mieszkankami Burgundii i — między jednym zartem a drugim — pchającego do ust pełne garście winnych gron. Jakże ten Engels, wśród rozbiwanego tłumu na winobrania, daleki jest od ponurego portretu, przedstawianego mieszczańskimi opiniami przez pisma burżuazyjne, od „krwawego potwora”, jakim przestraszonej nie na żarty już wówczas burżuazji rysował się wraz z Marksem współautor „Manifestu Komunistycznego”. A przecież jest to Engels jak najbardziej autentyczny, odważny burzyiciel starego świata po to, by stworzyć świat nowy, lepszy, piękniejszy dla wszystkich wydziedziczonych, którzy w ciemnych studniach wielkomięskich kamienic nie mogli sobie nawet wyobrazić, jak cudnie odbijać się może słońce w napeczniałych sokiem złotych gronach!

Z Szwajcarii Engels dostał się do Badenii i wziął tam udział w powstaniu 1849 r. Powstanie zostało stłumione i Engels musiał wyjechać do Londynu. Już do śmierci nie widział więcej swej ojczyzny.

Florian Miedziński.

*) Blocksberg — najwyższy szczyt w górach Harcu. Jungfrau — szczyt w Alpach berniejskich (4167 mtr.).



Scena z filmu „Daj nam ten dzień”, reżysera amerykańskiego Dmytryka.

które chyba ze względu grzesznościowych uczestniczyły w Festiwalu, stanowić często nawet dysonans. Niewiedomo dlaczego znalazła się na ekranie festiwalowego kina „Dziedziczka” Williama Wylera. Reżyser był ongi postępowcem, dziś jednak zmuszony jest realizować komercyjne przeboje. Może patrzeć przez szkło powiększające — znaleźlibyśmy w „Dziedziczce” akcenty krytyki potęgi pieniądza, ale jeśli nawet taka krytyka tam istnieje, to została ona skapaną w gestym psychologicznym sosie, przesłaniającym wszystko poza nieszczerą, neurasteniczną postacią bohaterki. Pierwowzorem literackim filmu jest utwór Henry Jamesa, jednego z prekursorów psychologicznej powieści anglosaskiej, lubującego się w mieszczańskich tragediach i kompleksach. Olivia de Havilland gra dobrze, ale bez wewnętrznego przekonania, a cały film pozostawia uczucie pustki i marnotrawstwa. Do tej samej kategorii niepotrzebnych, a może nawet fałszywych filmów zaliczyć trzeba norweski obraz „Chłopy ulicy”, propagujący pod pokrywką postępowości reformistyczne, socjaldemokratyczne hasła. Tu wreszcie znaleźć się powinna meksykańska „Wiesniaczka”, której operator Figueroa zdobył nagrodę za najlepszą zdjęcia. „Wiesniaczka” jest przestylizowanym, cikiwym i dalekim od rzeczywistości obrazkiem z „filmowego” Meksyku, niepodobnego do prawdziwej

mała kronika

PLAN sześciolletni zakłada podniesienie wydajności pracy o 36 proc. Zbudowanie podstaw socjalizmu wymaga rozbudzenia rewolucyjnej ofiarności mas, wychowania kadr specjalistów i fachowców, przemienienia metod pracy. Podobnie ma się sprawa z literaturą. Perspektywy jej rozszerzyły się, powiększył się zasięg działania, wzrosła rola społeczna, nabrała wagi jej funkcja wychowawcza. Ale jeśli literatura chce dotrzymać kroku idącemu w socjalizm narodowy, musi przemienić swój styl pracy i zwiększyć wydajność. Robotnik odrzuca metodę produkcji pozostawioną mu przez kapitalizm; pisarz także jej się pozbawia. Artysta samotnik, kunsztowny cyzelator słów, taki rozmnożony Miriam literatury polskiej, wydawany na kredowym papierze, dawno już się ośmieszył i wyszedłszy z więzy z imitacji kości słoniowej rozgryła się ze zdrową ciekawością po normalnym świecie, z lekka jeszcze mrucząc oczy przed stońcem.

Kapitalizm czynił z pisarza producenta książek. Szewca nie obchodziło, kto chodzi w jego butach, kielbasnika, kto zjada jego parówki. Podobnie pisarstwo było obojętne (a jeśli nie było, to powinno być), co się dzieje z jego własnym dziełem, stawy oczekiwał po śmierci, a porachunki docześnie zatulał z wydawcą, czasem biorąc od niego honoraria, a czasem dopłacając mu za kosztą druku i pokrywając składowe. Socjalizm zmienia samo pojęcie pisarza. Pisarz staje się działaczem kulturalnym, przemienia się — gdy trzeba — w propagandzistę, wychowuje czytelnika, bierze udział w jego konkretnym życiu i pomaga w codziennej walce klasowej. Natknąwszy się na niezrozumienie, pisarz kapitalizmu mówił o zwycięstwie za grobem, licząc na bardziej kulturalnych potomków lub też na sprawiedliwych profesorów historii literatury. Nasz pisarz, natykając się na obojętność, rewiduje swój warsztat twórczy, ale również przemienia odbiorcę. Zwycięstwo pisarza jest z życia, nie po śmierci. I wychowywanie narodu jest jego najważniejszym obowiązkiem. Zwalaszca wychowanie młodzieży. Socjalizm zrehabilitował pojęcie „młodości” literackiej. Młoda literatura w naszym ustroju nie uprawia walki pokoleń, pchania się do zajętych miejsc na Parnasie. Tam, gdzie Parnasem jest cały naród, walka pokoleń staje się anachronizmem. Młoda literatura bierze udział w walce ideowej, która przebiega przez całe społeczeństwo. W walce z kapitalizmem.

Trzeba powiedzieć, że ważnym odcinkiem tej walki jest młodzież. I tu literatura nasza ma duże grzechy na sumieniu. Nie tylko zresztą literatura. Organizacja młodzieżowa, ZMP — również. Wiemy, że nie mamy dobrej polskiej książki dla młodzieży. Wydawnictwa dopraszają się od pisarzy takiej książki, ale książki jak nie ma,

tak nie ma. Kiedyś zwiędzaliśmy bibliotekę w młodzieżowej spółdzielni produkcyjnej w Szczecińskim. Szafa pełna była książek radzieckich. „Matka”, „Jak hartowała się stal”, „Młoda Gwardia”. Młodzież spółdzielcza domagała się takich samych książek od nas, młodych pisarzy. Bo one obrazują najlepiej życie nowej młodzieży, są szkołą socjalizmu i patriotyzmu. A młodzi spółdzielcy spod Szczecina, praktykanci z kopalni im. Stalina w Sosnowcu, junacy z Wrocławia — oni wszyscy chcą się uczyć.

Uczą się na wielkiej literaturze radzieckiej. Ale wielkość literatury radzieckiej — to wielkość wysiłku, który w wychowanie artystów włożył również Komsomol. To rezultat ścisłego powiązania się pisarzy z życiem młodzieży radzieckiej. To wzajemna znajomość, zaufanie i miłość. Trzeba powiedzieć, że nasza organizacja młodzieżowa trochę lekceważyła sprawę sztuki. Wprawdzie w pismach młodzieżowych ZWM, a potem ZMP, wykształciła się cała kadra dziennikarzy i literatów, niedługo tegoroczny laureat państwowej nagrody artystycznej zaczynał pisać w pismach młodzieżowych, uczył się tam poznawać tajemki redakcyjne, ale pozostałe faktem, że współpraca ta była przerywana i wielu poetów i prozaików odbiło się od ZMP. Wielu zerwało kontakt z młodzieżą, poszło na mniej ciekawe odcinki pracy, z głównego nurtu zeszło do cichych i zamulonych zatoczek kultury.

Nie chodzi przecież o to, aby od czasu do czasu jakiś poeta czy krytyk „młodzieżowy” wygłosił przemówienie albo odczyt lub pojechał na wieczerz autorski do ośrodka studenckiego, chociaż i te formy współpracy są niezwykle cenne. Nie chodzi również o to, aby okazymie sięgać po pisarzy młodych, kiedy trzeba napisać broszurę czy zredagować jakiś biuletyn. Chodzi o przesycenie ich twórczości życiem naszej młodzieży. Trzeba ukazać młodzieży gigantyczne zamierzenia planu sześciolletniego, patos budownictwa Nowej Huty, kanału Wschód — Zachód, Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Niedawno Putrament pisał, że książka podobna do „Zorane ugoru” mogłaby zaoszczędzić nam wiele wysiłku w budowie socjalizmu. Polska „Młoda Gwardia”, polski Ostrowski również byłiby wielką pomocą.

Na nowym etapie życia narodu, w dziele zmobilizowaniu młodzieży do budowy podstaw socjalizmu w Polsce, ukazania jej porównawczych celów planu sześciolletniego i walki o pokój — trzeba umiejętnie wykorzystać młodą sztukę. Trzeba, aby młodzi artyści silnie związali się z własną organizacją. Trzeba jednak, aby organizacja śmiało sięgała po młodych artystów, wyciągała ich z pracy, gdzie są „niezastępieni”, i rzucała ich na najcięższe odcinki walki klasowej, jaka toczy się wśród młodzieży. Bo walka o naród, o socjalizm, o świat.

Tadeusz Borowski

Tam, gdzie podszczypują

Szanowna, acz anonimowa Koleżanko, przeczytałem uważnie list Pani, ten rozpaczliwy „Głos z Ameryki”, który zamieściło w pierwszym numerze przedwonne, historyczno - katolickie pismo „Życie i Myśl” (jeszcze się kiedyś n m szerzej zajmiemy). Otóż wyemigrowała Pani z mężem, dzieckiem i rodzicami z Anglii do Ameryki. Ameryka Panią rozczarowała, Pani, pisarka z ambicjami, musi pracować przez prawie dziesięć godzin dziennie w fabryce pudełek na akord. Wybija Pani do 35 tysięcy pudełek dziennie. Wraz z dojazdami pojeżdża to czterdzieści godzin na dobę. Poza tym razi Panią chamstwo i nieokrzesanie przeciętnej Amerykanina, przeżąda chciwa pogoń za dolarem, mierzchy obskurna „szkoła” publiczna, gdzie dzie-



ko Pani się deprawuje, zżyma się Pani na reakcyjną Polonię, która dostosowała się do tubylczych „gumozujów”. Kpij Pani z nieuczynnych sąsiadów, którzy usługi przeliczają na centy, drwi z ogłupiających gazet, podśmiewa się z majstra, który Panią podszczypuje i laskocze w fabryce, podobnie jak to czynił kucharz, w londyńskim klubie, przed którym Pani uciekała przez kuchenne schody, bo frontowymi wzbroniono... Pisze Pani: „Jedyna pociecha to fakt, że towarzyszy i towarzyszek niedoli mam tysiące — choć bardzo smutna to pociecha. W fabrykach w X profesorowie uniwersyte-ty pchają wózki z ciężarami, a lekarze i adwokaci zmywają talerze w restauracjach”.

Komentarze

Brzydząc się kulturą amerykańską i angielską, wychwała Pani pod niebiosa włoską. Zapewne była Pani we Włoszech nie jako turystka. Nie dostrzegła Pani, że kapitalizm również we Włoszech poniża godność człowieka, wysysa jego sily, łamie jego moralność, pożera go i zabija. Nie zauważyła Pani walki przodujących klas narodów z imperializmem. Nie chciała Pani widzieć napisów na cześć Stalina na murach miast włoskich, nie wsłuchiwała się Pani w przemówienia Politta, nie czytała Pani Dreisera i Fasta. Pisze Pani, pisarko z ambicjami, z niechęcią o „ciężbie robotniczej”, wśród której tłoczy się Pani w autobusach i tramwajach; tej ciężbie, która dla dziecka Pani wywalczy kiedyś lepszą, godną człowieka przyszłość.

List Pani jest wymowny. Jest przejmujący, jak krzyk człowieka, wtrąconego na dno piekła. Ale piekło to wybrała Pani dobrowolnie. Cóż odpowiedzieć na skargę? Tym, którzy skarżą się na haniebny ustrój społeczny, lecz nie chcą z nim walczyć, odpowiedział już przed wiekiem Mickiewicz:

Kto z was podnieś skargę,
dla mnie jego skarga
Będzie, jak psa szczekanie,
który tak się wdroy
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że w końcu gotów kasać — rękę,
co ją targa.
t. b.

Egzystencjalista... klasyczny

W rocznicę powstania warszawskiego Jan Parandowski opublikował kolejne wspomnienie wojenne. Nazywa się ono: „Strzęp mapy”. Drukował je „Tygodnik Przemysłowy” (nr 32). Ów strzęp mapy pozostawił u autora trzej żołnierze wracający do Warszawy po tulaczce wrzesniowej. Potem mapy poszukiwali Niemcy, ale nie znaleźli. Była ukryta w grubej kopercie z napisem „Humor w malarstwie pompejańskim”, zawierającej pękaty stos karteczek. Mapa stała się odtrutką na okupację; pozwoliła autorowi, jak bohaterowi Sartre’a, czuć się wolnym, a nawet zdobywać świat. Opisał, jak wojna zamocowała mu powśniedni tryb życia, autor apoteozuje „humanistyczną” beczyność i egzystencjalistyczną wolność:

„Wygrzewałem się w uczuciu radości i dumy. Patrzcie — mówiłem zielonym muni-

durom, pojawiającym się w polu mojego widzenia — patrzcie, siedzę tu nieznamy wam, beczynny, z założonymi rękami, jeden z niewolników, których los przesądzi-licie razem z losem całej ziemi, i oto waz-sza siła nie zdoła zakłócić biegu moich myśli, idących na podbój. Patrzcie, ide na wielką wyprawę. A oto mój sztandar — ten strzęp mapy — rozdarty, potargany jak w bitwach, cały w gwiazdach imion, z których każde lśni piórem białego orla.”



Tak niespodziewanie „egzystencjalizm” wiąże się z łzawą nutką patriotyczną. Po-tem opowiada autor, jak to po wojnie spotkał przypadkiem jeńca wojennego, który pracował w niemieckim instytucie kartogra-ficznym i przygotowywał hitlerowskie ma-py Polski. Jan Parandowski zdążył zauwa-żyć, że zmierzowana twarz jeńca „straciła wyraz dawnej beznamięnej euforii”, a oczy wyrażały głębokie, przejmujące zdziwienie. Nie zdążył tylko powiedzieć, dzięki czyjej krwi i wysiłkowi ten zasztyta nie rysował dalej map, lecz szedł do obozu jeńców. W tym egzystencjalizmie i pogardzie dla historii jest metoda... klasyczna.

pk.

W sprawie autorstwa przekładów

Praca tłumacza jest rzemiosłem odpowie-dzialnym i wymagającym pewnych kwalifi-kacji. Wielu tłumaczy dzieł literatury pięknej jest członkami Związku Literatów, co bynajmniej nie stwarza jakiegis reguły w stosunku do uprawiających pracę prze-kładową, ale jest podkreśleniem wypadków niewątpliwie twórczych niekiedy charak-teru pracy. Przekłady niektórych dzieł naukowych są z pewnością również z ty-tulu którejś ciąży na tłumacza duża odpo-wiedzialność, pracę stanowiącą przy tym pewien wkład twórczy nie mniejszy, niż wkład w przekład powieści czy zbioru no-wel.

WŁADYSŁAW BŁACHUT

Żniwa, dożynki i pieśń ludowa

Wielki proces pierwszych w planie 6-let-nim żniw i zbiorów mamy już poza sobą. Korzystając z dobrej pogody nasze PGR-y, spółdzielnie produkcyjne i indywidualne gos-podarstwa chłopskie w tym roku szybko uwinęły się ze zniwami i aniśmy się obej-rzeli, jak brzemienne dorodnym ziarnem snopy żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa zna-lazły się w stodolach.

Po zniesieniu dworskiego obszarnictwa i przykróceniu samowoli kulaaków na wsi — gęsto rozsiadano po kraju ośrodki maszynowe, dysponujące licznym taborem żniwiarów, młocarn i pierwszych na naszych polach kombajnów, wyraźnie ulżyły pracy człowie-ka, a coraz sprawniej funkcjonująca pomoc sąsiedzka zapewniła biedocie wiejskiej mniej więcej równy start z bogaczami.

W ramach planowej gospodarki i zaopa-trzenia — dziś przed żniwami nie było już mowy o nekającej od niedawna wieś zmorze przednówka, a odmalowany wernie przez Wincentego Pola na tle obszarńczego krajo-brazu:

„Żywy obraz Opatrzności Boskiej
Wiecznie ta wdowa, co tam zbiera kłoski,
Co po tej ścierni powoli tam kroczy,
I często zwraca ku niebu swe oczy...”

— należy już do przeszłości (v. W. Pol: „Przednówek”).

Również „wdzięczne” obrazki grubych dziecięcych czy dorodnych paniczek, w trzcinkami w rękach, objężdżających kon-no rzędy „swoich” żniwiarzy i w swoisty sposób zachęcających ich do pośpiechu przy pracy, zacieraają się powoli w pamięci mło-dego pokolenia chłopów, budującego spół-dzielczość produkcyjną.

Jedynie w starych zbiorach pieśni i oby-czajów ludowych znaleźć możemy interesu-jące przekazy o różnych „łokach” i innych upokarzających sposobach kapitalistycznego współzawodnictwa w pracy „na pańskim”. Z nich to dowiadujemy się m. in., jak to w podległych hr. Potockiemu okolicach Łań-cuta: „ekonom chce w jak najkrótszym czasie ukonczyć żniwa, ogłasza po wsi, że w sobotę sprawi dożynki. Pół wsi zbiega się w ten dzień na oznaczone pole i wykonuje pracę, która w zwykłych warunkach trwa-łaby kilka dni... Robotnicy nie otrzymują zapłaty, ale tylko wódkę, piwo, przekąskę i muzykę...” (v. Al. Saloni: „Lud łańcucki”). W innych znnow okolicach pan gruntu, chcąc zachęcić żeńców do pośpiechu, z nonszalan-cim gestem rzucał przed nich na zagon blyszczącą monetę! Po takiej zachęcie:

„Chociaż pot płynął z czoła,
To gromadka wesola,
Piosenkę se śpiewała
I pszeniczkę zbierała...”

Krocząc następnie z wieńcem dożynko-wym do dworu i śpiewając wienopoddaw-czą pieśń dożynkową na cześć rozwalonego na ganku dziedzica, biedota wiejska kłamała samej sobie. Przecież chodziło jej tylko o darmowy poczęstunek i chwilę swobodnej zabawy:

„Kazał nam jegomość — tańczyć koło stołu,
Da, bo nam obiecał — na wyżnek wołu!
Obiecał jegomość — dziewczom na wstążeczki,
A męztkom młodym — pieniądz na czepekczki.
A my mu podajem — wianuszek kłosisy,
Dla nas da poibeczek — beczkę dla basisty!
Da nam pan gorzałki — potanować każe,
Bo to tak robili — starzy gospodarze...”

Przez zorganizowanie takiej mokrej zaba-wy dożynkowej dziedzic ze swej strony ta-nim kosztem wywiązywał się ze swego dłu-gu wdzięczności na rzecz wsi i chłopów i jednat sobie ich względy na przyszłość. Wiał przy tym sporo uciechy i pańskiego zado-wolenia widząc, jak „...tu kilkunastu parob-ków obowiązanych w wojni po szyć, zabim skokiem ubiega się o pieniądz położony u mety... Tam jeźdźcy na koniach w polocie chwytają gęś wysoko zawieszoną pomiędzy dwoma siupami. Dziewczęta niosą na gło-wie do mety skopki pełniutki wody; która z nich nie rozleje, otrzyma wstążkę świetną, wieniec byszczyący, albo paciorki. Inni z gło-bokich mis pełnych wody lub maki, ustami dobywają będącą na dnie sztukę monety...” (v. Kolberg: „Mazowsze”).

Dziś, w czasie radosnych uroczystości do-żynkowych, organizowanych przez samych chłopów „na swoim”, zobaczymy niewątpli-wie inne, bardziej dojrzałe i świadome formy zabawy ludowej. Obok tradycyjnych pieśni i przyspiewów usłyszymy tam również z pewnością rodzącą się na wsi nową pieśń dożynkową, w różnych wariantach opiewa-jącą ducha nowych czasów; chłopski epos na cześć upowszechniającego się na wsi dobro-bytu, na cześć niosących chłopstwu ulgę ma-szyn, na chwałę sojuszu robotniczo-chłop-skiego...

Chodzi jedynie o to, aby powstającą w no-wej atmosferze wsi okolicznościową pieśń otoczyć staranną opieką, kultywować po-wszechnie i przy jej pomocy rugować ze wsi stare, sięgające czasów pańszczyźnianych banały w rodzaju:

„U naszego Jaśnie państwa
Są piękne stogi
A w Luboniu u hrabiego
Same barłogi.

Przed dworem, przed pałacem
Rosną gwóźdźki,
Przechodzi się nasz Jaśnie pan
Kręci wąsiki...”

Albo:

„Oj na jasnym niebie jaśniuchne obłoki,
Idzie nasza pani, podpira se boki...
Dobry nasz pan, dobry, bo nam daje wódkę,
Przeprasza pana: kieliszek małutki...”

Z dawniejszych trzeba przede wszystkim przywrócić prawo obywatelstwa dość rzad-kiej, choć niezwykle interesującej dożynko-wej pieśni buntowniczej, którą bardziej świadomiony lub więcej odczuwający swą krzywdę wyrobnik dworski śpiewał niegdys półgębkiem na pańskich dożynkach:

„...U naszego pana Hrabi
Konie jak piece,
A bo Antek rano wstaje
Trawę im siecze...”

U naszego pana Hrabi, w jego dziedzinie,
Obróci ci mu surdut złotem do samej
ziemi...”

Albo:

„U naszego pana zielona podłoga,
Zjeżdżają się goście jak do Pana Boga.

U naszego pana zielony podworec,
A nasza paniemka ma pieniądze korzec!
Ma pieniądze korzec talarów pół korca...
Jeszcze nie widziała takiego podworca...!

A żeby ja miała ze cztery tysiące,
Oj toby mnie wodzili, jak pannę za ręce!
Podawali mi krzeselczka wszędzie
A pytaliby mi się, gdzie se panna siedzie...”

Przymawiając oględnie panom, podnieco-ny alkoholem biedniak wiejski w czasie do-żynek podnosił mocny głos skargi przeciwko podtrzymującemu do ostatka system obszar-ńczego wyżysku oficjalistom dworskim:

„Nade dworem szary kierz,
Nasz ekonom kieby pies,
Bo nas bje i łaje,
Podwecorku nom nie daje...”
„Wychodziliśmy tak zrana,
Zabij nam, panie, barana,
Zabij nam panie jałowice,
Damy karbowemu połowice,
Pisarzowi: łeb i skórę,
Bo wciąga dzwki na górę.
Okunonowi ogon, rogi,
Bo jest dla nas bardzo srog...”

Albo:

„A nasz jaśnie panie, każ narobić ługu
Co wymyć nam trzeba, hej włodarza
z brudu,
A choć go umyjem — on nas zawsze bje
A choć go pochwalim — on nas zawsze wali...”

Albo:

„Nasz ekonom koło śliwki,
Goni z batem wiejskie dziewczki...
Ekonomka jak grafina,
Nie chce wódki, ino wina,
Bo jej świnki w pańskim ziarnie
Wykarmione dość udarnie...”

Pieśń ta, jak widać, operując bogatą skalą złośliwej ironii, uszczypliwej satyry i wi-sielczego humoru, jest dziś ciekawym doku-mentem krzywdy chłopskiej, smutnym świad-ectwem czasów, które nie wróca.

Władysław Błachut

„CZYTELNIK”
Wydawnictwo Popularno-Naukowe „WIEDZA Powszechna”
WIKTOR BUCH
PRZEMYSŁ W PLANIE 6-LETNIM
Str. 80 Ilustr. 60 Cena zł. 100.—
(Pierwsza broszura z cyklu „Plan 6-letni”)

SPROSTOWANIE

W artykule W. Zuławskiego pt. „Borys Go-dunow” w Operze Poznańskiej w Nr 18 „No-wej Kultury” popełniony został błąd korek-torski. W ostatnim akapicie 11 wiersz od gó-ry, zamiast o „kilkanaście lat...” winno być „o kilkadziesiąt lat”.

r. m.